№ 9. Warszawa, dnia 26 (14) Lutego 1887 r. Rok VII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

POLITYKA.

WYBORY NIEMIECKIE.

„Od lat dwudziestu przebyliśmy w Niemczech wiele walk wyborczych, toczonych z rozdrażnieniem i namiętnością, ale świadkami takiej, jak tegoroczna, jeszcze nie byliśmy. Nie gardzono żadnym środkiem dla zapewnienia rządowi przyjemnych rezultatów, użyto trwogi, postrachów i nienawiści dla rozpalenia i zmącenia umysłów, organy rządowe otwarciej, niż kiedykolwiek, wmięszały się do zapasów między stronnictwami, a wielki przemysł bez wstydu i skrupułów wywierał swój wpływ brutalny na robotników. O uczciwej wymianie myśli wprost zapomniano, hasłem było: zakrzyczenie przeciwników. Można było zaiste wątpić, czy ci, którzy w ten sposób występowali przeciwko sobie, są synami jednego kraju, obywatelami jednego społeczeństwa. Na miliony obliczamy straty materyalne, jakie Niemcy poniosły przez wyzyskiwanie dla samolubnych celów partyjnych mniemanego niebezpieczeństwa wojennego; ale czem są te miliony, czem miliardy wobec szkód moralnych, wyrządzonych narodowi, wobec ran otwartych, przez które krwawi się dusza narodu!“

„Do olbrzymich rozmiarów nabrzmiał ten błotnisty i zamulony potok kłamstw, szalbierstw i podłości, rozprowadzony po Niemczech z ruchu wyborczego, który na zawsze pozostanie ciemnym punktem w naszej historyi.“

Oto ostateczne wrażenie i wniosek, oto przekonania, które jak gryzący osad pozostawiły w uczciwszych duszach niemieckich wybory do parlamentu, bez względu na to, czy owe dusze— jak w pierwszej skardze— należą do przeciwników, czy — jak w drugiej — do przyjaciół ks. Bismarka. Rzeczywiście, patrząc na ten ohydny obraz zaciekłej walki najwstrętniejszą bronią potwarzy i kłamstwa, można było przeciębić mocno swój zapał do konstytucyonalizmu. Kanclerz niemiecki, wprawiwszy w ruch całą maszynę rządową, rozkiełznawszy namiętności, rozpuściwszy wszystkie sfory, urządziwszy niebywałą obławę na „wolny głos ludu,“ stworzył widowisko, które rzadko się powtarza przy polowaniach wyborczych. Zagryzano się wzajemnie i zażcrano, zwłaszcza zaś namiętności ludu podpalano najsromotniejszem zarzewiem. Tak np. w niezliczonej liczbie odbić rozpowszechniono po wsiach obrazek, w którym francuzi zabierają dobytek, palą chatę i gwałcą żonę niemieckiego chłopa — naturalnie z objaśnieniem, że kto chce uniknąć takiego losu, niech głosuje za kandydatem rządowym. Gdzieindziej znowu kazano ludowi wybierać: „cesarz, albo Windhorst z Richterem — wrogowie państwa.“ Bogaci żydzi, którzy stanęli po stronie ks. Bismarka a nie mogli popierać jego drużyny antisemickiej, płacili za usunięcie jej od kandydatur. Milionerowi berlińskiemu Bleichröderowi za 10,000 marek poświęcono Stöckera. Ponieważ rząd, prócz uroku, posiada armię kornych urzędników, którym łamiąc słuszną zasadę ich neutralności, kazał wystąpić do boju, ponieważ nadto rozporządza bez kontroli olbrzymim „funduszem gadzinowym“ i zdołał pozyskać prawie wszystkich wielkich kapitalistów i przemysłowców, łatwo więc zrozumieć, jak wytężoną i straszną rozwinął działalność. Jeśli zaś przytem zważymy bezwzględność, z jaką ks. Bismark idzie do swych celów, i wagę, jaką przywiązał do obecnych wyborów, pojmiemy, że nie cofnął się przed „Brunnenvergiftung“ — „zatruwaniem studni“ życia narodowego.

Czy zamiary swoje osiągnął? Dotąd mamy tylko rachunki przybliżone. Już z nich jednak wywnioskować można, że ten nakład energii, że ten „potok błotnisty kłamstw“ nie przepłynął bezowocnie i oberwał opozycyi duże kawały gruntu. Zwłaszcza postępowcy, na których uderzono ze szczególną siłą, wyjdą niewątpliwie z urn w zastępie znacznie zmniejszonym. Podobnie centrum złoży ofiarę listom papieskim, a kosztem obu tych stronnictw wzrosną narodowo-liberalni i konserwatyści — dwa szeregi figur chińskich, kiwających machinalnie głowami na wszelkie przedstawienia rządowe.

Ale w rezultacie dotychczasowym wyborów zarysowała się już dość wyraźnie jedna, wcale dla ks. Bismarka niepożądana niespodzianka — przyrost partyi socyalno-demokratycznej. Wprawdzie kiedyś kanclerz wesoło oświadczył w parlamencie, że nie smuciłby się „drugim tuzinem“ socyalistów, ale gdy ten tuzin przybył, przestał podsycać jego dobry humor. Kto wie zatem, czy teraz wybory nie dadzą zaliczki na tuzin trzeci. Udział bowiem głosów robotniczych był wszędzie ogromny a ich kandydaci odnieśli najpewniejsze zwycięztwa. Drwił wielkorządca Niemiec z dowodzeń, że on jest najgorliwszym, choć mimowolnym apostołem socyalizmu, teraz cyfry powinnyby go przekonać o słuszności tego twierdzenia, gdyby go cokolwiek przekonać mogło.

Pozornym, na niewiadomość tłumu obliczonym powodem rozwiązania parlamentu i hasłem wyborów było niebezpieczeństwo zewnętrzne, przeciwko któremu dawna większość sejmowa jakoby nie chciała uchwalić potrzebnej obrony; w rzeczywistości zaś — co dziś już dla nikogo nie jest tajnem— szło o pozbycie się tej większości, niewygodnej w rządach samowolnych. Ks. Bismark, który w Radzie związkowej, w Izbie Panów i w sejmie pruskim gospodaruje swobodnie i przeprowadza wszystkie swoje projekty, musiał często rozbijać się o skały sejmu niemieckiego, którego za-

dnym sposobem w wielu sprawach nie mógł nagiąć do swej woli. Trzeba zaś uprzytomnić sobie wszystkie właściwości natury tego człowieka, nieznoszącego oporu, a jednocześnie istotną zależność od dwu partyj nienawistnych — katolików i postępowców, ażeby zrozumieć, jak dalece pragnie on swych przeciwników osłabić i zniszczyć jedyne ograniczenie dla swej samowładzy. Tłumiąc gniew przez lat kilkanaście, teraz nim wybuchnął i postanowił jedną kartą odegrać wszystkie swoje straty.

Jakkolwiek tedy wynik przedsięwziętych obecnie wyborów ma z pozoru przedewszystkiem znaczenie zewnętrzne, ogólno-europejskie, rzeczywiście zamyka on się w granicach spraw wyłącznie niemieckich. Nie rozstrzygnie on o pokoju lub wojnie, ale zdecyduje: czy ks. Bismark będzie rządził w swem państwie samowładnie, czy też nadal ulegać musi sejmowi Rzeszy. To zaś na stosunki zagraniczne wpływu nie wywrze, bo na nie parlament wcale nie oddziaływa i w tej sferze kanclerz jest krępowanym chyba tylko życzeniami osobistemi cesarza.

Czemu wszakże świat z tak wytężoną ciekawością oczekuje rezultatu owych wyborów? Dlatego, że w nie wrzucił całą swą siłę potężny człowiek, który ciągle jest przedmiotem uwagi powszechnej. Gdyby on ze szczególną zawziętością zaczął strzelać do słowików, z pewnością telegraf tak samo roznosiłby po kuli ziemskiej wiadomości o rezultatach tego sportu. Dziś poluje namiętnie na postępowców i katolików, którzy przecież więcej znaczą, niż słowiki.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Szczegółów, cieniów i świateł, jeszcze brak, ale ogólny kontur przyszłego sejmu niemieckiego już się wyraźnie zarysował: ks. Bismark zwyciężył, opozycya znacznie osłabiona, siedmiolecie budżetu wojennego zapewnione. Wątpliwymi dotąd są tylko dwa punkty: ilu zwolenników swej wszechwładzy zyska kanclerz i ile stanowisk zdobędą socyalno-demokraci. Między te bowiem dwa przeciwległe bieguny rozdzielił się tryumf.

Przepowiednia nasza sprawdziła się: po skończeniu wyborów, zniknęło widmo wojny, malowane ciągle płatnemi rękami na ścianie francuskiej. Już ani Boulanger, ani deski i baraki, ani konie i owce zakupywane w Hiszpanii, nie grożą pokojowi. Giełda rozpoczęła grę zwyżkową, biedny rubel z radości podskoczył nieco, a widnokrąg polityczny rozpogodził się znacznie. Maluczko, a biuro prasowe berlińskie roześle gazetom nakaz dowodzenia, że wyborcy niemieccy uratowali Europę od strasznej wojny.

Bezczelniejszego kłamstwa światło dzienne nie widziało. Od przybytku władzy głowa nie boli, więc ks. Bismark dla konsekwencyi pozoru wniesie przed Izbę projekt siedmiolecia i jej zgodę otrzyma; ale o tę uchwałę w rzeczywistości dba on mniej, niż o wydajność buraków cukrowych na polach warcyńskich. Sejm poprzedni dogodził jego żądaniu w całej rozciągłości na lat trzy, a taki okres jest chyba dostatecznym zarówno dla utrzymania pokoju, jak dla przeprowadzenia wojny, zwłaszcza że po upływie trzechlecia żaden parlament nie odmówiłby dalszej zgody w potrzebie. O tę więc bagatelę, rozdętą sztucznie dla nastraszenia głupich wyborców, wcale już dziś kanclerzowi nie chodzi. On teraz sięgnie po swój właściwy, a ukryty cel — po rządy nieograniczone żadnym organem konstytucyi. Jedyna zawada — sejm Rzeszy zniknął, a raczej zamienił się — jak pruski — w „chór landratów,“ w gromadę, której większość umie na wszystko mówić: „tak,“ a o „nie“ zaledwie tylko czasem myśleć lub szeptać sobie pozwala.

Jest to więc największe zwycięztwo wewnętrzne, jakie ks. Bismark odniósł. Odtąd ma on ręce wolne, może przeprowadzić w państwie cały system reakcyi i ucisku żywiołów wolnomyślnych. Nieśmiało, pokornie, lękliwie, ale bronił swobód konstytucyjnych dotychczas sejm niemiecki; teraz ostatnia twierdza runęła w gruzy, jej bohaterowie zostali rozbrojeni.

Do weselnego wszakże kielicha, którym ks. Bismark wypije własne zdrowie, spadło kilka gorzkich kropel: oprócz socyalno-demokratycznej, francuska i polska. Poznańskie bowiem, oraz Alzacya i Lotaryngia, wybrały swoich dawnych lub narodowych przedstawicieli. Jest to niespodziewany męt w słodkim napoju, którym dziś odurza się pan Niemiec i jego wierna służba.

Urzędówki i półurzędówki różnojęzyczne z zadowoleniem witają zwycięztwo kanclerza niemieckiego i dzwonią w sygnaturkę pokoju. O niezmierzonych stratach pieniężnych, o burzy giełdziarskiej, o zniszczeniu ekonomicznem, o ruinie, bankructwach i samobójstwach, słowem o kosztach wewnętrznej wojny niemieckiej, opłaconych przez zagranicę — nic słyszymy ani wzmianki. Wszyscy się cieszą i czekają... trzeciego listu papieskiego przeciwko... katolikom.

Wrzawa tych zapasów stłumiła głosy innych zdarzeń politycznych. Zaledwie zwrócono uwagę na kłopoty włochów w Afryce, na kłótnie ministrów francuskich, na wichrzenia niemców austryackich, a nawet na p. Cankowa, z którym Porta przerwała dalsze układy. W każdym razie teraz kolej na kwestyę bułgarską, która z pewnością niedługo wyjdzie przed front spraw europejskich. Telegraf zamiast „Berlin,“ wstawił już „Sofię,“ skąd zaczną napływać najsprzeczniejsze wiadomości.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z RUSI GALICYJSKIEJ.

Galicyjscy i bukowińscy robotnicy wobec projektu o zaprowadzeniu Izb robotniczych.

Wiadomo, że rząd oświadczył się za utworzeniem drugiego gimnazyum ruskiego w Przemyślu. Uczynił to oczywiście dla zjednania sobie rusinów na wypadek wojny, która, według przekonania ogółu, wybuchnie lada chwila. Tą samą zapewne pobudką powodowali się i posłowie do Rady państwa, gdzie obecnie na porządku dziennym stoi sprawa zaprowadzenia Izb robotniczych. Pobudka ta nie jest zresztą jedyną, gdyż wnioskodawcy, należący do opozycyi, pragną w ten sposób pozyskać robotników oraz usunąć anarchistom grunt działań.

Izby owe, których liczba wynosiłaby w austryackiej połowie państwa 26, mają być zaprowadzone dla obrony interesów robotniczych, dostarczania rządowi danych i przedstawiania życzeń tej warstwy, a nadto wybierałyby do Rady państwa swych delegatów. Rząd nie odniósł się w tej sprawie do robotników, jednak widocznie

---

POWIEŚĆ.

RÓŻA

(SZKIC)

Maksa Kretzera *).

Zuzia była biednem, wcześnie oślepłem stworzeniem. Całymi dniami, od rana do nocy, siadywała w jednem okienku przebudowanego poddasza, zapełniając ciemnię swego życia robieniem pończoch wełnianych, po trzydzieści fenigów za parę, żeby choć tym nędznym zarobkiem dopomódz swej matce. Kiedy jeszcze widziała na oczy, we wczesnej młodości, nauczyła się tej roboty i teraz jej nie zapomniała; ona stała się jedyną jej rozrywką, przy której swobodnie mogła snuć nieskończone pasmo swych myśli.

Pewnego wieczora w lecie stała jak zwykle w kąciku przed bramą, samotna, opuszczona i zaniedbana, żeby odetchnąć dusznem powietrzem ulicy po całodziennem przebywaniu w duszniejszej jeszcze atmosferze poddasza. Tak czyniła od lat wielu, takim był jej odpoczynek po pracy o zmierzchu przed nocą. Sąsiedzi, przechodnie, co stale o tej porze bramę mijali, zdawna przywykli widzieć ją tu i w tej postawie: opartą o szarą ścianę domu, z rękami skrzyżowanemi na piersiach, z wygasłem, bez blasku wejrzeniem, nieruchomo zwróconem przed siebie, jak gdyby wpatrywała się w jakąś dal bezbrzeżną, widomą jedynie jej oku wewnętrznemu. Dokoła niej kipiało i szumiało życie uliczne, płynęły i potrącały się tłumy, brzmiał zgiełk dzielnicy roboczej, co przy ostatnich promieniach zachodzącego słońca przybierało wyraz olbrzymiej fabryki, w której dopiero rozpuszczono robotników na wypoczynek nocny. Gromadami przechodziły mimo niej robotnice, ukazywały się twarze wesołych ludzi, którzy przy blasku zachodzącego słońca zapominali o całodziennej ciężkiej pracy, by choć teraz odetchnąć swobodnie. Zuzia nie widziała niczego, tylko słyszała wszystko; ze wszystkich tych różnobarwnych ulicznych obrazów dochodził do niej chyba tylko pył, co kłębiąc się w ognistym odblasku, zalewał ją gęstym tumanem.

W tem zbliżyła się kupka głośnych, tak wczesną porą już podpiłych studentów, którzy w wesołym humorze właśnie opuścili gościnną knajpę cioci Dulicowej. Ciocia Dulicowa była to kobieta wielkiego serca i nieograniczonego kredytu; nic dziw więc, że w jej gospodzie najwięcej ułożono prelekcyj, najwięcej wypijano piwa i wypalano tytoniu. Dziś właśnie był koniec kursu i z tego powodu tak wczesna pijatyka. Wszystkim przodował Hugo Wendling, stary „kolega,“ syn jedyny zamożnych rodziców gdzieś z dalszej okolicy. Dziś ukończył studya, więc koledzy odprowadzali go na kolej, żegnając się z nim na długo. Był to zawadyaka nie lada, dobry do wypitki i do wybitki. Szli w sześciu, zataczając się, każdy z różą w dziurce od guzika, z czapką naciśniętą na lewe ucho, cały świat oglądając innemi oczami, niż zwykli trzeźwi ludzie. Przechodnie zatrzymywali się na ich widok, jedni potrząsali głowami, drudzy uśmiechali się, inni przemawiali:

— Ha, cóż, młodość musi wyszumieć, na to nie ma rady! Młodzi chcą użyć.

A młodzi tymczasem rzucali miłosne spojrzenia przechodzącym dziewczętom: gdy która z nich była szczególnie piękną, posłyszała głośne wyrazy uwielbienia; jeden po drugim wyjmował różę i z wesołym żartem podawał ją tej, która mu się najlepiej spodobała. Tylko Hugo Wendling miał je-

*) Maks Kretzer, najwybitniejszy przedstawiciel nowego, realistycznego kierunku w literaturze niemieckiej, autor powieści *Die Verkommenen* i *Die drei Weiber* oraz 1 zbiorku szkiców p. t. *Im Riesennest*, z którego też powyższy szkic wyjmujemy. *I. Fr.*

życzył sobie wszędzie ich zgromadzeń, czego dowodem fakt, że nawet lwowska policya i namiestnictwo, które przez kilka lat ostatnich systematycznie odmawiały takich zebrań w najniewinniejszym nawet celu, obecnie nie stawiały żadnych przeszkód.

Dziwne stanowisko zajęli wobec powyższego projektu robotnicy większych miast austryackich. Wszędzie oświadczyli się oni na zgromadzeniach przeciw ustawie, dowodząc, że żądają albo wszystkiego, albo nic. Jedynie lwowscy, a pośrednio galicyjscy wogóle, zachowali się odmiennie i, zdaniem ogółu, praktyczniej. W uchwale z 6 b. m. wyrażają przedewszystkiem swoje ubolewanie i niezadowolenie z powodu, że ministerstwo handlu przesłało projekt dla zaopiniowania Izbom handlowym i przemysłowym, nie odnosząc się z podobnem zapytaniem do bezpośrednio zainteresowanych, tj. robotników, chociażby zgrupowanych w korporacyach. Następnie krytykują projekt Plenera z powodów, że on tylko częściowo i pośrednio daje robotnikom możność udziału w życiu politycznem; że pomija kobiety, choć ustawa przemysłowa przyznała robotnicom prawo należenia do stowarzyszeń i tworzenia ich na równi z mężczyznami; że nawet w razie przyjścia do skutku ustawy pozostaną bez najmniejszej reprezentacyi robotnicy rolni i inni, nienależący do „kas dla chorych“ (na podstawie których mają być dokonane wybory do Izb); że nareszcie robotnicy, chcąc bronić swych interesów, potrzebują przedstawicielstwa nietylko w parlamencie państwowym, ale także i w sejmach krajowych. Z tych więc powodów lwowscy robotnicy oświadczyli, że jedynie w powszechnem i bezpośredniem prawie wyborczem widzą zadośćuczynienie sprawiedliwości i rękojmię słusznego uregulowania swych spraw.

Zważywszy jednak, że zaprowadzenie Izb dać może robotnikom pewne korzyści, że przeto jako pierwszy krok ku polepszeniu ich położenia w państwie zasługuje na poparcie, zgromadzeni oświadczyli się za projektem, zastrzegając: 1) że odnośną ustawą rozszerzona będzie kompetencya Izb wogóle, a w szczególności otrzymają one prawo wysyłania do Rady państwa posłów w ilości odpowiedniej liczbie posłów z Izb handlowych; 2) że prawo wyboru i wybieralności służyć będzie i kobietom, przyczem wiek, uprawniający do wyborów, będzie ustanowiony na 21, nie zaś, jak w projekcie, na 24 lat i nie mają być wykluczeni także nieumiejący czytać i pisać*): 3) że równocześnie z projektowaną ustawą wydaną będzie podobna dla robotników rolnych, i nareszcie 4) że Izbom robotniczym, tak przemysłowym jako też rolnym, nadane będzie prawo wysyłania swych delegatów także do sejmów krajowych i rad, i w tym celu wydane będzie postanowienie dopełniające do ustawy o reprezentacyi. W końcu zaś postanowiono przesłać tę uchwałę na ręce posła Kronawettera (niemca).

Zauważyć winniśmy, że na wspomnianem zgromadzeniu mieli swoich przedstawicieli robotnicy polskiej, ruskiej i żydowskiej narodowości i że tym razem uwzględniono także prawo języka ruskiego, w którym wygłaszano mowy i rozlepiano afisze. Jeżeli do tego dodamy jeszcze tę okoliczność, że za pośrednictwem telegramów z prowincyi galicyjskiej a nawet z Czerniowiec na Bukowinie i prywatnego porozumienia się w tych prowincyach wspomnianą uchwałę uważać należy za wyraz ogółu robotników galicyjskich i bukowińskich, zrozumiemy, że ona nabiera tem większego znaczenia i że z tym faktem będzie się musiała liczyć Rada państwa oraz rząd. Jest pewna nadzieja, że ustawa ta przejdzie, jakkolwiek uszczuplona, tem bardziej, że za nią oświadcza się także cała prawica.

Hucuł.

*) Ustęp ten ma szczególne znaczenie dla Galicyi, gdzie w razie przyjęcia go podług projektu wnioskodawców, 2/3 robotników byłoby wykluczonych od wybierania do Izb. Jeszcze jaskrawiej przedstawiałaby się ta sprawa na Bukowinie.

SPRAWY EKONOMICZNE.

O UBEZPIECZENIU PRACY.

II.

Co robotnikowi, pracującemu na utrzymanie siebie i rodziny, w pomyślnem zadania tego rozwiązaniu zagraża? Zagrażają mu przeszkody w postaci czworakiej: brak pracy, choroba, starość i śmierć. Państwo mogłoby się tem nie troszczyć, gdyby robotnik nie wiedział, że składając na utrzymanie bytu państwowego podatek mienia i podatek krwi, ma prawo domagać się z jego strony opieki. Świadomość ta w połączeniu z rozpaczą głodową, możliwą przy zmieniających często swą postać warunkach ekonomicznych, kłopotliwie się przedstawia w państwach, co do powściągania wybuchów rozpaczy sił i środków nie posiadają innych, jak te, które im robotnik dostarcza. W Szwajcaryi rządy kantonalne rozporządzają policyą i milicyą obywatelską, której nie wyodrębniają ani duch korpusu, ani patryotyzm osobny do tego stopnia, ażeby się przeciwko obywatelstwu z głodu zrozpaczonemu użyć dały. Względ ten niemałoważny, jeżeli może być pomijany gdzieindziej, to nie w ojczyźnie Tella i dlatego w Genewie, którą warunki ekonomiczne uciskają mocniej, aniżeli inne kantony, kwestya ogólnego ubezpieczenia pracy postawioną została wyraźnie — brutalnie prawie.

P. Favon domaga się ustanowienia dla robotników, na wypadek braku pracy, choroby, starości i śmierci, asekuracyi przymusowej, pozostającej nietylko pod zawiadowictwem, ale i pod odpowiedzialnością rządu. Rozprawę, jaka się z powodu tego w izbie wywiązała, uważać można w tej sprawie za klasyczną, charakteryzującą stanowiska dwóch potęg interesowanych — państwa i kapitału — w odniesieniu do trzeciej, pracy.

Państwo poczuwa się i przyznaje do obowiązku, nakazanego mu przez interes własny. Istnieje ono dla ogółu i przez ogół, skąd wynika, że zarówno sprawiedliwość jak bezpieczeństwo domagają się uczynienia zadość potrzebom tej warstwy, na której, jak na fundamencie, opiera się budowla społeczna. Ludność robotnicza nie może żyć z dnia na dzień, w wiecznej o jutro obawie. Usunięcie obawy tej wzmocni ją, a tem samem wzmocni zarazem pracę i państwo.

Językiem tym, z frazeologii oczyszczonym, przemawia znajdujące się obecnie u władzy stronnictwo radykalne. Walkę z niem podejmuje do ujęcia władzy w ręce swoje podążające stronnictwo liberalne. Przedstawia ono kapitał. Pozycye zaznaczają się wyraźnie na polu obrad, toczonych spokojnie. Jakże się na sprawę liberalizm zapatruje? Przedewszystkiem, uznaje on potrzebę ubezpieczenia ogólnego pracy, uznaje ją bezwarunkowo nawet i, jeżeli nie przyjmuje bezwarunkowo propozycyi radykalnej, to przez wzgląd, z jednej strony, na dobro państwa, z drugiej, na dobro klasy robotniczej. Państwo, biorąc na siebie odpowiedzialność asekuracyjną, bierze na barki

---

szcze swoją różę. Przyszli przed bramę, gdzie stała Zuzia samotna, którą wszyscy tak często widywali, przechodząc tędy wieczorem do knajpy. Tu nagle zatrzymał się Hugo i rzekł z pijaną butą:

— Bracia, a ja wybrałem lepszą część i daję moją różę tej oto księżniczce na pamiątkę dzisiejszej uroczystej chwili, na pamiątkę tego miejsca, gdzieśmy tak często braterstwo zapijali i gdzie dziś święcimy nasze rozstanie!

Wydobył różę i otoczony kolegami zwrócił się do biednej Zuzi.

— Mój aniele, weź tę różę na pamiątkę. Od dziś za rok zawitam tu znowu i przyniosę ci świeżą; a do tego czasu nie zapominaj o mnie!

Ślepa nie wiedziała, co się z nią stało. Podniosła wygasłe oczy, uśmiechnęła się i chętnie dała sobie wcisnąć różę do dłoni. Dzieci, co ją otaczały, wybuchnęły śmiechem i zawrzeszczały: „Ślepa Zuzia ma kawalera!“ I studenci zaśmieli się wesoło, a Hugo półgłosem zanucił:

A gdy przyjdę, luba, po roku...

I poszli, śmiejąc się, tonąc śród tłumu, zostawiając biedną Zuzię pogrążoną w zadumie, z pełną, rozkwitłą różą w ręku. Dzieci cisnęły się dokoła niej i przymawiały jej „kawalerem.“ Raz tylko wyciągnęła rękę ku białowłosej główce dziewczęcej, przyciągnęła ją ku sobie i zapytała po cichu:

— Jak wyglądał ten pan, co mi dał różę? Jakże to ślicznie pachnie, niby ogród cały!

— Ładny panicz, student — odpowiedziało dziecko.

— Tak, student? — powtórzyła Zuzia sama do siebie, przytuliła różę do twarzy i znowu samotnie wparła oczy w ciemności...

Biednej zamąciło się w głowie. Z czasem wszyscy to w domu powtarzali. Lata mijały, a ona ciągle czekała na swego kawalera, lecz on nie przychodził. Długimi letnimi wieczorami stała ciągle samotna, opuszczona między murem i bramą; tłumy przechodziły obok niej, nadsłuchiwała za każdym szelestem, za każdym głosem, otwierała szeroko oczy, jak gdyby mogła niemi cokolwiek zobaczyć podobnie do innych szczęśliwych ludzi, lecz ten, co jej przyrzekł świeżą różę, nie przybywał. W ciemności wracała schodami, kładła się na pościel, by potem znowu cały długi dzień przy dźwięku drutów snuć nieskończone pasmo swych myśli. „Zgłupiała biedaczka“ — mawiali starsi ludzie, a dzieci skoro ją zoczyły na ulicy, nie przestawały krzyczeć: „Zuzia czeka na swego kawalera!“

Minęło dziesięć lat długich. Wielka wojna między Niemcami i Francyą skończyła się, wiele ludzi zmieniło się w tym czasie, zmieniła się też i ślepa Zuzia. Jej postać zgarbiła się, policzki pozapadały z niedostatku, twarz, co nigdy nie była piękną, zbrzydła w dwójnasób i pomarszczyła się; lecz ciągle jeszcze wieczorami stała dziewczyna przed bramą, ciągle jeszcze całymi dniami robiła pończochy za kilkanaście fenigów, tylko już nie dla poratowania matki, bo ta dawno leżała w grobie, ale na korzyść obcych ludzi, którzy ją z litości przyjęli i trzymali u siebie.

I o kilka domów dalej, w dawnej knajpie studenckiej wiele się zmieniło. Ciocia Dulicowa także dawno umarła, zadymione ściany pokryte były nowemi obiciami, a obcy gość, co już kilka godzin siedział śród mieszczańskiego towarzystwa i nadaremnie oglądał się za jaką znajomą twarzą, z tęsknotą wspominał owe czasy, kiedy jeszcze młodym studentem w kole towarzyszy śpiewał tutaj tyle wesołych pieśni. Dziś właśnie dziesięć lat mija, jak ostatni raz tu siedział, nie myśląc wcale, że losy życia dopiero po tak długim czasie pierwszy raz go znowu tu sprowadzą, i to właśnie w chwili, gdy mu się ściele droga do wysokich urzędów i dostojeństw a nadto jeszcze przechodzi na niego spadek bogaty. Wiedział tylko, że z dawnych towarzyszy niektórzy pa-

swoje ciężar do obliczenia i do udźwignięcia trudny. Zdarzyć się może przesilenie przemysłowe, na bruk sceny, tysiące robotników rzucające. W razie takim wkłady na opędzenie potrzeb życia nie starczą i państwo zmuszone będzie iść z pomocą, która będzie jałmużną. Dobro samo klasy robotniczej sprzeciwia się pomocy tego rodzaju. Nie lepiejże przeto samej tej klasie pozostawić troskę o ubezpieczenie się tak szczegółowe, jak ogólne, wywierając jeno w kierunku tym ze strony państwa nacisk wyzywający i zachęcający? Liberalizm upomina się dla robotników o swobodę działania — o wolność — o niezabijanie w nich ducha inicyatywy i samopomocy, taką ważną w społeczeństwach nowoczesnych odgrywającego rolę. Projektowi p. Favon przeciwstawi on projekt, polegający na dozorowaniu państwowem i zasiłkowaniu ograniczonem do ściśle oznaczonej kwoty przez izbę zawotowanej i udzielonej, jako fundusz zakładowy towarzystw asekuracyjnych, założonych osobno dla chorych, osobno dla starców, osobno na wypadek śmierci, ale nie na wypadek braku pracy. Ten ostatni z góry wymyka się z pod kontroli i posłużyłby jako zachęta do zawiązywania zmów robotniczych, coby przemysł ustawicznie pod mieczem Domoklesa trzymało.

Punkt ten jest kamieniem obrazy, przeszkadzającym porozumieniu i stanowiącym różnicę ważną pomiędzy socyalizmem rządowym pruskim, a socyalizmem rządowym genewskim. Różnica nie ogranicza się na tem. Sprzeciwia się temu natura władzy, zależnej od ponawiających się co lat dwa wyborów. W wyborach udział biorą robotnicy — są wyborcami i wybieralnymi — głosy ich stanowią cyfrę tak znaczną, że oni na rezultat wpływają i drogą tą sami do władzy dojść mogą. Czy to z szeregów ich ludzie nie dostają się na wyższe szczeble? Czy obecny prezydent federacyi szwajcarskiej karyery swojej nie rozpoczął w warsztacie? Władza przeto dostać się może w ręce robotników, albo stronnictwa liberalnego i partya radykalna nie na tem nie zyska. W warunkach takich zajęcie stanowiska Bismarkowskiego jest dla niego niemożliwością zupełną; wniesienie zaś projektu uważać można jako znak czasu, znamionujący ukształtowanie się pojęcia o państwie inaczej, aniżeli w wiekach średnich, do których Prusy nawracają i w wiekach starożytnych, z których nie wyszły jeszcze Chiny. Tym, co podatki płacą i krew dają, państwo obowiązane jest odwzajemnić się rękojmią, że z głodu nie pomrą. Oto rogi, które się wysuwają z projektu do prawa radykałów genewskich. Rogi te bodą kapitał — nic dziw, widmo głodu bowiem, słaniające się przed oczami klasy robotniczej, stanowi jeden z głównych warunków kapitalistycznej egzystencyi i usunięcie jego słusznie w przemysłowcach budzi obawy. Na drodze tej w perspektywie przyświeca wyzwolenie pracy, co oni tłomaczą w ten sposób, że robotnik, podnięty pozbawiony, pracować nie zechce. Że coś podobnego, w początkach zwłaszcza, nastąpić może, temu zaprzeczyć trudno. Nastąpi to atoli w warstwie ludności o tyle już oświeconej, że z łatwością zrozumie ona, iż rękojmia państwa zmieni się w literę martwą, jeżeli przez nią zasilaną nie będzie. Projekt polega na kasach asekuracyjnych, formowanych z wkładek robotniczych. Gdyby robotnicy pracować przestali, nie byliby w stanie wkładów dawać i kasy by przyjść do skutku nie mogły. Zachodzi tu przeto warunek *sine qua non*, niosący podnietę, a zarazem urabiający i wzmacniający spójnię pomiędzy ludnością roboczą a państwem — spójnię, brzemienną patryotyzmem, który pozwolimy sobie nazwać racyonalnym. Dla genewczyków, gdyby projekt pana Favon prawem się stał i w czyn zmienił, idea malutkiej ich ojczyzny przestałaby być ideą oderwaną: widzieliby ją w zapewnionym swoim i dzieci swoich bycie, dotykaliby się jej w każdym chleba kawałku. Taka ojczyzna, bądź co bądź, bliższą serca człowieczego być musi, aniżeli ta, co się domaga siedmiolECI, otacza dymami prochu strzelniczego i tłomaczy grabieżą. Powiadają np., że patryotyzm pruski potrzebuje w momencie obecnym koniecznie wojny dlatego, że finanse państwowe w opłakanym znajdują się stanie. Patryotyzm genewski za zadanie wytknął sobie ubezpieczenie pracy. Któryż z dwóch tych patryotyzmu rodzajów jest realniejszy, godziwszy, sprawiedliwszy, piękniejszy?

T. T. Jeż.

BADANIA NAUKOWE.

TYPY ZAWODOWE.

Na wytworzenie charakteru osobistego — pojęcie zaś to bierzemy w znaczeniu jak-najszerszem — składają się czynniki natury dwojakiej: naprzód występują tu popędy przyrodzone, następnie zaś ogół pojęć, od dzieciństwa nabywany przez otoczenie społeczne w sposób najrozmaitszy i odpowiednio do swej zawartości przekształcający podścielisko pierwotne. Chodzi więc o ustanowienie stosunku wzajemnego obu tych podkładów. Do jakiego stopnia otoczenie może przekształcać lub niweczyć popędy z urodzenia, pytanie to wzbudza zajęcie nieustające i spory, gdyż obok wartości teoretycznej, posiada jaknajwiększe znaczenie praktyczne. Tymczasem właśnie z powodu takiego stosunku do życia, zagadnienie to zbyt mocno wiąże się z interesami i zapasami społecznymi, aby można było oczekiwać spokojnego rozwiązania. Weźmy np. obecne ruchy antisemickie; wytworzyły one właściwą sobie osnowę teoretyczną „wpływów rasowych,“ według której żyd zajmuje się oszustwem nie dlatego, że warunki społeczne tak go skierowały, ale ponieważ jest to wymaganiem jego organizacyi rasowej, stąd wniosek, żądający wytępienia skłonności takich (tj. ludzi noszących je w sobie). Obrońcy znów kary śmierci, wychodząc z założenia, że popędy zbrodnicze są również dziedziczne, żądają przywrócenia lub utrzymania zwyczaju tego oraz obostrzenia wogóle kar. Takich przykładów moglibyśmy przytoczyć mnóstwo, a wszędzie zauważymy jedno: przywiązanie zbyt wielkiego znaczenia do wpływów z urodzenia właściwe jest przedewszystkiem dążeniom wstecznym i antihumanitarnym, kładzenie znów większego lub wyłącznego nacisku na wpływ otoczenia cechuje prądy postępowe, bardziej ludzkie.

Jednak nauka w czasach ostatnich zdobyła dwie drogi dla częściowego choćby rozstrzygnięcia tego pytania: jedną wytknął hypnotyzm, drugą toruje antropologia włoska. Obie idą niezależnie od siebie i jakkolwiek wyniki zyskane za ich pośrednictwem przeczą sobie, jest to raczej sprzeczność pozorna i pochodzi z podłożenia pod wywody teoretyczne celów praktycznych. Hypnotyzmowi zwłaszcza należy przyznać doniosłość jaknajwiększą. Ogólnie znane są zmiany, jakie otrzymać można w charakterze osoby podczas snu hypnotycznego pod wpływem rozkazu. Mówimy do zahypnotyzowanego: „jesteś dzieckiem, idź bawić się z malcami!“ — i on zaczyna skakać jak dzieciak; „jesteś księdzem!“ — i twarz przybiera wyraz uroczysty; „jesteś psem!“ — czołga się na czworakach i szczeka. Tchórz

---

dli na placu boju, inni rozsypali się po świecie.

Gdy nikt się nie zjawiał — wyszedł. Na ulicy jaśniało zachodzące słońce takim samym czerwonym blaskiem, jak wówczas, kiedy jeszcze powaga życia nie wyryła swych śladów na jego twarzy, jak dzisiaj.

— Ślepa Zuzia czeka na swego kawalera, czeka, czeka! — rozległ się tuż obok niej wrzask dzieci przed bramą. Asesor Hugo Wendling zwolnił kroku, wzrok jego spoczął na nędznie odzianej, ślepej kobiecie. Z założonemi na piersi rękami pochylona stała w kąciku pod bramą, wdychając kurz uliczny. Dawno zapomniany obraz odżył w jego pamięci. Poczuł on, że coś przewinił i naprawić musi. Przystąpił do biedaczki i zapytał:

— Czyś ty ślepa Zuzia, co stała tutaj przed dziesięciu laty i dostała różę od jednego pana?

Ślepa zadrżała, ręką chwyciła się za piers, bo tchu jej zbrakło. Potem odchyliła w tył głowę, szeroko rozwarła powieki i uśmiech przeleciał po jej ustach. Promień niewysłowionego szczęścia przemknął i na chwilę oblał rumieńcem jej lica. Z razu nie mogła odpowiedzieć, a potem głośno wyrzekła:

— Tak jest.

Asesor wziął ją wobec wszystkich otaczających ludzi za rękę i milcząc poprowadził schodami aż do jej nędznego mieszkania. Rozpytał o nią ludzi, co ją przyjęli, a potem usiadłszy naprzeciw niej, spojrzał w twarz, na której błyszczało coś, jak pozdrowienie dawnych przyjaciół.

— Zuziu — rzekł — a masz ty jeszcze tę różę?

Ślepa zaczęła macać obok siebie i wydobyła z małego drewnianego pudełka zwitek papieru, w którym znajdowały się dawno zwiędłe listeczki.

— Zuziu — rzekł Hugo dalej — od jutra życie twoje zmieni się na lepsze, nie będziesz potrzebowała pracować, doznasz opieki i starań, ale daj mi tę różę, którą ci ofiarował niegdyś mój dobry przyjaciel.

Ślepa wyciągnęła ręce, prędko uchwyciła papier i potrząsnęła głową.

— Przecież to pan sam był — tyle zaledwie powiedziała. Poznała go po głosie. Asesor był głęboko wzruszony.

— Niech i tak będzie. Bądź zdrowa, do jutra — rzekł krótko, ale drżącym głosem, uścisnął jej rękę i poszedł.

Zuzia znowu zwinęła papier z listkami zwiędłej róży, potem skrzyżowała ręce, utkwiła ślepe oczy w przestrzeni i zaczęła dumać, dumać o jutrze.

A nazajutrz on przyszedł w istocie.

— Zuziu — rzekł znowu — niegdyś zażartowałem z ciebie, gdym jeszcze był nieokrzesanym burszem, gdym nie wiedział, jak to gorzko być opuszczonym pośród ludzi. Muszę naprawić moją winę. Na dole powóz stoi, czeka na nas. On cię zawiezie do prywatnego schroniska dla ślepych; tam ci niczego nie zabraknie, tam się będą obchodzić z tobą, jak z córką, dopóki żyć będziesz. Przystajesz?

Schylił się nizko ku niej, wziął ją za rękę, cały zatopiony w poczuciu tej prawdziwie szczęśliwej chwili swego życia.

Zdawało się, że coś pracuje we wnętrzu ślepej Zuzi, że pierś jej pęknąć musi. Potem siedziała cicho i nieruchomo. On odstąpił w tył i nie spuszczał z niej oka. A gdy wreszcie cichym głosem wyrzekła: „Przystaję“ i wyciągnęła ręce ku niemu, uśmiechnęła się tak pogodnie, jak gdyby pierwszy promień światła wpadł w ciemności jej życia i roztoczył przed oczyma jej ducha szerokie, słoneczne przestrzenie nowego, lepszego bytu. Z tem uczuciem, oparta na jego ramieniu, zeszła na dół schodami i przy jego boku pojechała przez szumiące fale tłumów ulicznych, których bezlitosne okrzyki w długich letnich wieczorach tak często obijały się o jej uszy.

Tłom. *I. Franko.*

zmienia się na junaka, pobożniś na bezbożnego, milczący na gadułę. Wobec tego mimowoli rodzi się zapytanie: czy upodobania nasze i charakter nie są w części bardzo znacznej właśnie następstwem takiego samego poddawania idej odpowiednich przez atmosferę społeczną lat dziecinnych, wychowanie, stan, zajęcia itd.? Za tem przemawiają doświadczenia Chambarda. Okazuje się, że osoba, będąc w stanie hypnotycznym, jak gdyby odosobniona od społeczeństwa, traci czasami wszelkie uczucia powstrzymujące i ułożone, wpojone przez otoczenie; instynkty jej, popędy i żądze występują z siłą jaknajwiększą. Poszukiwania te stanowczo przemawiają za wpływami otoczenia. Tymczasem badania antropologów włoskich, przynajmniej na pozór, doprowadzają do wniosków wręcz przeciwnych. Dowodzą one, że zbrodniarze wyróżniają się od innych ludzi i długością rąk, i posiadaniem pewnych zboczeń anatomicznych, i charakterem pisma, i chorobami, i skłonnościami. Nie znaczy to, ażeby wszyscy posiadali cechy wyliczone w tem samem napięciu i ilości, ale jedynie, że wśród nich spotykamy je częściej, niż gdzieindziej. Tak np. oburęczni, tj. władający ze zręcznością jednaką obiema rękami, są $3\frac{1}{2}$ razy liczniejsi pomiędzy kryminalistami, aniżeli wogóle. Fakty te tłomaczy się w ten sposób, że ponieważ towarzyszą stale zbrodni, są przeto jej przyczyną; innemi słowy: na ludziach niektórych już od urodzenia ciąży poniekąd pewien rodzaj przeznaczenia. Pytanie jednak, o ile przypuszczenie to jest słusznem. Nie trudno zauważyć, że wiele z cech zbrodniczych jest już bezwarunkowo pochodzenia społecznego: skłonności niektóre, brak wstydliwości, nawet i charakter pisma. Inne znów mogą być przyniesione na świat, ale przetrwały jedynie z braku otoczenia należytego. Niektórym znów, tyczącym się zboczeń anatomicznych, zaprzeczają nowsze badania. Wogóle wnioski antropologów włoskich są uprawnione tylko w granicach pewnych, jakkolwiek istnienie typu zbrodniczego może nie ulegać wątpliwości.

To samo da się powiedzieć o *typach zawodowych*, o których zamierzamy pomówić w artykule niniejszym. Jest to przedmiot, który nie zwrócił jeszcze uwagi szczególnej, przecież nie wątpimy, że ją zajmie, być może nawet w przyszłości niedalekiej. W tem upewniają nas liczne, acz ulotne wzmianki i dociekania teoretyczne, spotykane w nowszych pracach socyologiczno - antropologicznych. Wychodzą wszystkie one z rezultatów, jakie antropologia włoska otrzymała z poszukiwań nad grupami: zbrodniarzy, reformatorów społecznych, waryatów i geniuszów.

Przedewszystkiem wszakże wypada określić zawartość samą tego pojęcia. Oto wyobraźmy sobie w społeczeństwie grupę ludzi, utworzoną tak, iż mieścimy w niej osoby zajmujące się jakimś szczególnym zawodem (np. muzyków), lub odznaczające się wspólnością upodobań (pobożnisie). Czyż grono to nie będzie posiadało właściwych sobie cech fizycznych i psychicznych, wyróżniających je od wszelkiego innego? Gdyby wzięto narzędzia używane przez antropologów, zbadano różne wyznaczniki budowy, szybkość oraz regularność pulsu, uderzania serca pod wpływem tej lub owej podniety, siłę w ciśnieniu nogi lub ręki, charakter pisma, sposób wypowiadania swych uczuć i myśli, wrażliwość na podrażnienia itd. w grupach różnych, opartych na jednakowości zajęć lub upodobań, czyżby nie otrzymano w rezultacie dla każdego szeregu stosownej tablicy liczb wyznacznikowych, odmiennej niż u każdej innej? Czyż, podobnież jak typy zbrodnicze i obłąkańcze, nie mogą też istnieć i inne, poddające się również wymiarom ścisłym: religijno-dewockie, artystyczne, uczone, kupieckie, adwokackie?

Przypuśćmy, że te pytania i wnioski teoretyczne potwierdzą się w doświadczeniu, co jest rzeczą w stopniu pewnym prawdopodobną. Idzie tylko, jak i w typach zbrodniczych, o oddzielenie pokładów różnych. Przedewszystkiem wiadomo, że rzemiosło lub upodobanie, zmuszając do czynności określonych, ćwiczy odpowiednio niektóre władze fizyczne i duchowe w stosunku niespotykanym gdzieindziej. O wpływie takim świadczą liczne przykłady. Każdemu, kto zajmował się kwestyą robotniczą, znane są choćby ze słyszenia „choroby i zboczenia profesyonalne"; okazuje się, że śmiertelność oraz długotrwałość życia i jakość cierpień są różne u odmiennych grup robotniczych. Zajęcia wiadome wywołują wszędzie zmiany stosowne w ukształtowaniu morfologicznem. Że majtkowie Stanów Zjednoczonych, mimo iż wogóle są wzrostu niższego, niż żołnierze, posiadają wszakże nogi dłuższe o 0,217 cali i ręce krótsze o 1,09 cali; że dalej obwód szyi tamtych jest większy, lecz piersi i bioder mniejszy, niż u tych ostatnich, fakt ten należy do często przytaczanych. Do tego rzędu zjawisk godzi się zaliczyć „pamięć fachową." Człowiek, oddawszy się jakiejś gałęzi wiedzy, z czasem w dziedzinie swej zdoła zapamiętać fakt najdrobniejszy, wówczas gdy należące do innych sfer zjawiskowych i często wartości zasadniczej niebawem wietrzeją mu z pamięci. Istnienie typu zawodowego, o ile pochodzi z ćwiczenia ciągłego w kierunku jakimś, nie ulega wątpliwości; jest to wypływ jednostronności w użyciu odnośnych władz duchowych i fizycznych z pominięciem innych. Ale teoretykom typów profesyonalnych chodzi nie o to nawarstwowanie wpływów zawodu samego, lecz raczej o cechy „przedistniejące" już poprzednio, przed „uświadomieniem powołania." Atoli jak je odszukać? Jak rozplątać różne pokłady, przedistniejące i nabyte w skutek sprawowania zajęcia? W odpowiedzi na to ukazują, że przynależności wrodzone w razach niektórych występują mocniej, niż nabyte już ćwiczeniem fachowem, mianowicie kiedy te ostatnie spotykać winniśmy u wszystkich pracowników w gałęzi pewnej, tamte występowałyby jedynie u osób, noszących w życiu swem podmiotowem uczucie zamiłowania do specyalności lub należących do tych, którym się powodzi w fachu; następnie cechy nabyte oglądać możnaby jedynie wśród specyalistów, tymczasem przedistniejące zdarzałyby się i w grupach innych, prawdopodobnie wśród niezadowolonych ze swego zajęcia. Więc możliwość wydzielenia w typie profesyonalnym pierwiastków nabytych i przedistniejących byłaby tem większą, im swoboda w wyborze zajęć zależałaby bardziej od woli jednostek.

Wśród osób, co wzięły się do pracy jakiejś pod wpływem różnych okoliczności bywają niektóre, mające po temu uzdolnienia wrodzone i zamiłowanie; prawdopodobnie, że stanowić będą wśród fachowców grono najzdolniejsze. „Zwykły majtek na maszty, przewodnik zaś górski na skały dostaje się ze zręcznością niemal bajeczną dlatego, kto wyrósł zdala od mórz i gór. Ale skoro tenże ktoś obdarzony jest uzdolnieniami niezwykłemi w tym kierunku, ćwiczenie chwilowe mu to wykaże i wkrótce dojdzie on do zręczności, jakiej nie dało wychowanie. Zrodzony na gimnastę zadziwi niebawem zwinnością swą majtków. Okrętu nie poprowadzi, tymczasem będzie łazić po masztach niby małpa" (Galton). Wybicie się takie zdolności, jeśli przypuścimy ich istnienie, zależy od ustroju społecznego. W tym względzie możnaby znów powołać się na przytoczonego antropologa angielskiego, gdy rozbiera tablice konkursowe na wydziale matematycznym w Anglii. Corocznie do 450 młodzieńców zdaje egzamina konkursowe na stopień naukowy; umieszczają ich w tablicy według wykazanej znajomości przedmiotu. Pierwszych 40 wydzielają w kategoryę tak zwanych „przodowników," a znalezienie się w liczbie tej zapewnia natychmiastową karyerę. Ambicya i chęć dobrobytu materyalnego działają jednako. Kiedy roku jednego pierwszy z „przodowników" otrzymał stopień 7,634, drugi już 4,123. ostatni zaś 237; w innym roku pierwszy 9,422, drugi 5,642, ostatni 309. Otóż wobec tych konkursów jest wysoce prawdopodobnem, że śród najpierwszych „przodowników" znajdą się przedstawiciele co najwybitniejsi wrodzonego typu profesyonalnego. Ponieważ zaś tegoczesne stosunki ekonomiczne, przynajmniej śród zawodów wolnych, stwarzają taką samą arenę wyścigową, przeto w grupie każdej powstaje grono podobnych „przodowników," którzy, w odróżnieniu od towarzyszy, obok znamion społecznie nabytych posiadają jeszcze wrodzone, zupełnie odpowiadające wymaganiom fachu. Weźmy dla przykładu adwokatów. Rzesza liczna, zwabiona nadzieją zysków, rzuca się na to pole zarobkowania, lecz tylko niektórzy, posiadający spryt pewien, zręczność i przebiegłość oraz wymowę, wybiją się na wierzch. Czyż nie jest prawdopodobnem, że przedstawiać będą właśnie jakieś stałe zespolenie pewnych cech duchowych, dzięki któremu powiodło im się w owym zawodzie?

Dajmy na to, że doświadczenie potwierdzi dociekania teoretyczne we względzie typów profesyonalnych. Czyż potwierdzi ono i dalsze wywody, będące już następstwem logicznem samego założenia pierwotnego? Tutaj należy przedewszystkiem zagadnienie, w jakim stosunku do siebie znajduje się szczególny typ zawodowy u *różnych* narodowości? O ile rzecz dotyczy nabytych i nawet poniekąd wrodzonych cech profesyonalnych, ich kosmopolityzm (tj. podobieństwo wzajemne wśród szczepów różnych) możemy wywnioskować *à priori*: ponieważ fachy i rzemiosła pewne w Europie otaczają jednostkę atmosferą jednaką zajęć, stosunków i pożądań, przeto i wpływy przez nią wywierane uwidocznią się być może w sposób jednaki na istocie ludzkiej, a jednakie uzdolnienia wrodzone zapewnią osobie powodzenie jednakie. Kosmopolityzm typu profesyonalnego wykazują i badania antropologów włoskich. Zauważono, że fotografie kryminalistów z pośród różnych społeczeństw europejskich są do siebie uderzająco podobnie. „Zbrodniarz — powiada jeden socyolog-kryminalista — nie tylko odznacza się tem, iż odchyla się od typu etnicznego, ale również tem, że nieprawidłowości te sprowadzają się wszędzie do wspólnej zasady i owo zboczenie w swym zakresie jest typowe." Czyżby tego nie można było powiedzieć o innych typach profesyonalnych? Przytoczony socyolog mówi: „Ideałem byłby kierunek, w którym zmierzają społeczeństwa nasze, mianowicie, ażeby zawada żadna nie przeszkadzała zużytkowaniu jaknajlepszemu powołań jednostkowych. Wtedy w zawodzie każdym oglądalibyśmy jedynie ludzi, stworzonych poniekąd dla niego. Typy profesyonalne, podstawione w ten sposób na miejsce etnicznych, utworzyłyby klasyfikacyę wyższą ludzkości". Potwierdza to fakt, że zbliżenie się i serdeczność pomiędzy dwiema osobami z narodowości różnych tem są prędsze i ściślejsze, im upodobania i zajęcia ich podobniejsze. Obok kosmopolityzmu typów profesyonalnych można postawić jeszcze pytanie jedno co do wzajemnej ich pokrewności. Związek taki pomiędzy typem zbrodniczym zabójców awanturników politycznych stanowi ideę ulubioną antropologa Lombroso. W szkicu swym z powodu bandyty Gasparona powiada. „Z Gasparone, zrodzonego w chwili bieżącej, być może wyszedłby nie rozbójnik przydrożny, lecz jeden z owych działaczy politycznych, zarówno niebezpiecznych dla sprawiedliwości, jak i dla kraju." Szarlatanizm i zepsucie polityczne, które rozsiadły się w Stanach Zjednoczonych i we Francyi, potwierdzają przypuszczenie takie. Następnie, zdaje się, iż w *Revue philosophique* czytaliśmy zestawienie podobne typu

złodzieja z oszustem giełdowym. Badania odnośne nad związkiem takim typów wyjaśniłyby prawdopodobnie niejedną zagadkę w psychologii życia społecznego. Np. czyżby wygasł obecnie typ ów, który dostarczał Europie średniowiecznej jej pustelników i fanatyków? Wątpię; rzecz cała w tem, że wobec rozkładania się i malenia wpływów religijnych przybrał postać odmienną. Torquemada, być może, byłby obecnie takimże samym fanatykiem, ale — niewiary i ateizmu. Weźmy następnie z patologii indywidualno-psychicznej zjawisko takie, jak napady krwiożerczo-erotyczne. Kryminalistyka dostarcza sporo zbrodni, spełnionych pod tym wpływem. Czyż ów stan, przynoszony przez osoby niektóre z sobą na świat i przetworzony wskutek nabytków wychowania, nie może wykwitnąć w działalności odmiennej? Możemy stąd otrzymać hiszpana Diaza de Garayo, corocznie w miesiącu pewnym uprowadzającego kobietę, bez względu, czy będzie to staruszka zgrzybiała, czy ledwie dorastające dziewczę, w miejsce samotne, duszącego ją i następnie gwałcącego martwą; i artystę w okresach napadu stwarzającego dzieło swe najlepsze, o kolorycie krwiożerczym lub erotycznym; i działacza politycznego, wysyłającego setki ludzi na gilotynę w imię idei; i siepacza inkwizycyi, stosem nawracającego heretyków...

Na tem kończymy artykuł nasz lub raczej sprawozdanie. Usiłowaliśmy w nim zaznajomić czytelnika z kwestyą, poruszaną dotychczas mimochodem i teoretycznie, raczej jako możliwość, niż jako rzeczywistość. Nauka podchodzi ku niej ze stron różnych: i Galton w badaniach nad dziedzicznością, i antropolodzy włoscy w swych poszukiwaniach, i historyk de Candolle, i socyolog Tarde potrącają o nią częstokroć nieświadomie. Sądzimy jednak, że niedaleka ta chwila, kiedy rozpoczną się świadome i ścisłe dochodzenia w tej mierze i tylko wtedy okaże się, czy typy profesyonalne odpowiadają rzeczywistości. Do tego czasu pozostają jedynie przypuszczeniem.

Lud. Krz.

TYNDALL I HUXLEY WOBEC KANTYZMU.

P. Kauffman w swoim artykule „Kantyzm i przyrodoznawstwo“ niesłusznie zalicza Tyndalla i Huxleya do zwolenników Kanta, stawiając ich w jednym szeregu z Du Bois Raymondem. Jakkolwiek w zapatrywaniach obu tych sławnych przyrodników angielskich dadzą się łatwo wykryć pewne punkty styczne z kantyzmem, nie może to jeszcze służyć za dowód, że są oni jego wyznawcami. Teorya Kanta, pomimo wszystkich zalet, jakie jej trzeba przyznać, nie przestanie być eklektyzmem, na który się złożyły wszystkie kierunki myślenia filozoficznego. Nic więc dziwnego, że każdy z tych kierunków może w niej odnaleźć część swoją.

Autor na potwierdzenie swego mniemania przytacza niektóre ustępy z pism Tyndalla i Huxleya. Ustępy te atoli rzeczy nie rozstrzygają. Świadczą one tylko o jednem, że tak Tyndall jak i Huxley, będąc przeciwnikami materyalizmu, uważają tłomaczenie czucia zapomocą pewnego rodzaju ruchu fizycznego za usiłowanie awanturnicze, do niczego zgoła niewiodące. Być zaś przeciwnikiem materyalizmu — nie znaczy to jeszcze być zwolennikiem Kanta. Kant nie był ani pierwszym, ani ostatnim z filozofów, który wykazywali przeciwieństwo między aktem świadomości, a towarzyszącym mu ruchem molekularnym miazgi mózgowej. Jest to odwieczne zagadnienie stosunku duszy do ciała, zagadnienie, które od czasów Kartezyusza stało się dla filozofii prawdziwą kwadraturą koła. Nie masz dziś ani jednego filozofa, nie wyłączając nawet materyalistów, którzyby nie uznawał, że co innego jest czucie, a co innego ruch molekularny mózgu. Jest to bowiem fakt empiryczny, którego nikt zaprzeczyć nie może. Rozchodzą się oni z sobą tylko w pojmowaniu go, w sposobie jego tłomaczenia.

Spirytualiści upatrują w nim dowód odmiennej natury dwóch pierwiastków, dwóch substancyj — ducha i ciała; materyaliści sprowadzają przeciwieństwo zjawisk przyrodniczych i fizycznych do różnicy w formie ruchu, filozofia zaś doświadczalna, usuwając na bok metafizyczne dociekania, poprzestaje na zaznaczeniu, że zjawiska psychiczne, będąc jaknajściślej skojarzone z pewnymi warunkami organicznymi, muszą być przedewszystkiem rozważane ze stanowiska biologicznego, jako objaw życia.

Jakie było pod tym względem zdanie Kanta, trudno na to odpowiedzieć. Pewnem jest tylko to, że podstawą jego teoryi jest uznawanie duszy za substancyę. Dlatego też, kiedy niektórzy z najnowszych uczniów sprowadzają jego naukę do założeń najczystszego idealizmu, inni znów przesadzają ją bez ceremonii na grunt zwykłego dualizmu spirytualistycznego.

Zapatrywania pod tym względem Tyndalla i Huxleya nie mają nic wspólnego ani z jednymi, ani z drugimi. Stoją oni na stanowisku filozofii doświadczalnej.

Huxley w dziele swem: „Hume, życie jego i filozofia,“ wypowiada zdanie następujące: „To, co nazywamy umysłem, nie jest niczem więcej, tylko imieniem zbiorowem, oznaczającem sprawy mózgu; pierwiastki naszej świadomości są wytworem czynności mózgowych...“ Mówiąc zaś o znanem powszechnie zdaniu Cabanisa, podług którego myślenie ma być wydzieliną mózgu, tak się wyraża: „Formuła ta, pomimo całej swojej niezręczności, zawiera w sobie pojęcie bardziej zbliżone do prawdy, niż pospolite mniemanie, które każe uważać duszę za jakiś byt metafizyczny, przebywający wprawdzie w głowie, ale tak niezależny od mózgu, jak np. urzędnik telegraficzny od przyrządu, którym się posługuje.“

Co się tyczy Tyndalla, nie mogę na razie przytoczyć żadnego ustępu z jego dzieł, w którymby zapatrywanie jego pod tym względem było wypowiedzianem tak stanowczo, jak u Huxleya. Z tem wszystkiem dość przeczytać jego mowę w Belfort z 1874 roku, ażeby się przekonać, że we wszystkich zagadnieniach, odnoszących się do biologii i psychologii, idzie on za Spencerem, nie zaś za Kantem. Zresztą, jakkolwiek powiada on, że świadomość jest faktem niewytłomaczonym, nie utrzymuje przecież, jak to czyni Du Bois Raymond zgodnie z duchem kantyzmu, że pozostanie dla nas niezrozumiałą na zawsze. W swej rozprawie: „Siła fizyczna i myśl“ mówi on wyraźnie: „Być może, że kiedyś tajemnica ta stanie się dla nas zrozumiałą. Rozwój rzeczy na ziemi jest postępem długim i powolnym. Czy na ów postęp będziemy się zapatrywali ze stanowiska naukowego, jako na wypadkową powolnego, ale naturalnego rozwoju; czy ze stanowiska teologicznego, jako na dzieło potęgi twórczej, objawiającej się w kolei czasów; w żadnym razie nie mamy prawa utrzymywać, że obecne zdolności człowieka są ostatnim kresem jego rozwoju umysłowego i że dalszy postęp jest już dla niego niemożliwym.“ Takim językiem kantyzm nie przemawia, gdyż dla niego *Ignorabimus* jest dogmatem nienaruszalnym.

Nie trzeba przytem zapominać, że punkt ciężkości teoryi Kanta nie leży w jego poglądzie na stosunek duszy do ciała, ale w jego konceptualizmie, który jest pomysłem osobnego rodzaju, jemu jednemu właściwym. Jak wiadomo, odróżnia on w poznaniu dwa pierwiastki: przypadkowy, który pochodzi z doświadczenia, i konieczny, który pochodzi z samego rozumu. Ten ostatni sprowadza on drogą analizy do pewnych ściśle oznaczonych kategoryj, które są pojęciami *a priori*, wrodzonemi umysłowi i poprzedzającemi wszystkie doświadczenia. Pojęcia te same w sobie próżne, pozbawione wszelkiej treści, są koniecznymi warunkami poznania, ale same przez się poznania nie stanowią. Stają się niem wtedy dopiero, gdy przez doświadczenie połączą się z wrażeniami zmysłowemi, które je uzupełniają. Pojęcia *a priori* nadają formę poznaniu, którego naturą są doświadczenia zmysłowe.

Posłuchajmyż, co mówią o konceptualizmie Kantowskim Tyndall i Huxley.

W przytoczonym już odczycie Tyndalla w Belfort czytamy: „Kant, nie mogąc w żadnym akcie swej świadomości uwolnić się od warunków czasu i przestrzeni, uznał czas i przestrzeń za konieczne formy naszej organizacyi, za formy i postacie, do których musi się przystosowywać nasze postrzeganie, które do nas jednych tylko należą i nie mają bytu przedmiotowego. Spencer w sposób niespodziewany i z wielkiem powodzeniem zastosował do tego zagadnienia teoryę dziedziczności. Skoro są dane pewne stosunki zewnętrzne, które organizm w każdej chwili swego życia musi odczuwać — stosunki bezwzględnie stałe i powszechne; to muszą w następstwie tego wytworzyć się także stosunki wewnętrzne, które również będą bezwzględnie stałemi i powszechnemi. Takimi właśnie stosunkami są: czas i przestrzeń. Ponieważ stosunki czasu i przestrzeni są niejako podkładem wszystkich innych stosunków świata zewnętrznego, dlatego też i odpowiadające im wrażenia muszą także być podkładem wszystkich wogóle stosunków wewnętrznych. Będąc stałymi i ciągle powtarzającymi się pierwiastkami myślenia, stały się one z konieczności pierwiastkami automatycznymi, tj. takimi, od których myślenie nie może się uwolnić.“

Huxley w swem dziele o Kancie powiada: „Wykład Kanta, dotyczący koniecznych pierwiastków poznania, odznacza się stylem tak zawiłym, tak jest obciążony prawdziwie przygniatającą scholastyką, że nie łatwo w nim odróżnić to, co ma wartość rzeczywistą, od tego, co jest tylko przydatkiem. Gromada ciurów obozowych jest u niego większa, niż sama armia, i ten, co po raz pierwszy czyta Kanta, ulega nieraz złudzeniu, że zdobył nader ważną pozycyę, kiedy tymczasem udało mu się zaledwie podejść i wziąć do niewoli garstkę maruderów niepożytecznych. H. Spencer wyjaśnił w swej psychologii lepiej, niż kto inny przed nim, prawdę, zawartą w systemie Kanta.“

(D. n.)

W. Kozłowski.

HISTORYA.

N. Karlejew: *Oczerk istorii rieformacionnawo dwiżenija i katoliczeskoj reakcii w Polszie.* Moskwa, 1886. 8-o, str. VIII, 192.

Oparł p. Kariejew swą pracę głównie na znanem dziele Liubowicza: *Istorja rieformacii w Polszie* (Warszawa, 1883); posiłkował się też licznemi monografiami pisarzy polskich, począwszy od Węgierskiego, skończywszy na Szujskim i ks. Bukowskim. Nie badał sprawy źródłowo, lecz rezultaty dotychczasowych dociekań zsumował, a przez postawienie reformacyi w Polsce na tle powszechnem dziejowem, umiejętnie ją pod niejednym względem oświetlił. Rozdział zatytułowany: „Reformacya polska przed sądem historyi“ stanowi kwintesencyę dzieła i interes budzi niemały.

Według p. Karijewa, w ostatniej dobie niezależności politycznej należał naród polski do najbardziej katolickich w Europie. Nietolerancya panowała zarówno w prawodawstwie, jak i w obyczajach społeczeństwa; sprawa dysydencka była jedną z przyczyn wmieszania się mocarstw sąsiednich w wewnętrzne stosunki Rzeczypospo-

litej. Inne było zachowanie się narodu polskiego względem kościoła po stuleciu XVI: reformacya ogarnęła Koronę i Litwę, pod względem tolerancyi przewyższała Rzeczpospolita Europę zachodnią, dawała bowiem przytułek prześladowanym wszędzie przedstawicielom najskrajniejszej wolnomyślności religijnej, znanym pod nazwą aryan. Nie ulega wątpliwości, że do zaszczepienia w heretyckiem niegdyś społeczeństwie ducha katolickiego przyczynili się jezuici: oni to, nietylko przyłożyli rękę do powrotu różnowierców „na łono wiary jedynej“ i budowali w masach gorliwość religijną, lecz zatarli nawet pamięć o reformacyi. W epoce reakcyi zapomniano o wielu znakomitych na polu polityki i literatury działaczach szesnastego stulecia, o Modrzewskim np., Mikołaju Siennickim, Hieronimie Ossolińskim, dlatego, że operowali wbrew interesom kościoła. Zanikła z czasem tradycya reformacyi; katolicyzm usunął wszystko, co przywodziło na pamięć czasy, w których Polska zdawała się wchodzić na tory Lutra, Zwingliego, Kalwina, Knoksa, Gustawa Wazy i Henryka VIII. Polska XVI i Polska wieku XVIII stoją pod tym względem na krańcach: naród kroczy z początku za reformacyą i pielęgnuje w sobie ducha wolnomyślności, później opuszcza tę drogę, by iść za jezuitami i uchwałami soboru trydenckiego, pogrążyć się w ortodoksyi katolickiej i nietolerancyi. Krótko trwał ruch reformacyjny w Polsce: ze słabych za Zygmunta I zaczątków doszedł za ostatniego Jagiellończyka do punktu kulminacyjnego, a po ukoronowaniu jednego z bohaterów nocy św. Bartłomieja, Henryka Walezego, zaczął już gasnąć.

Niepodobna nam streszczać tego, co autor pisze o husytyzmie w Polsce i humanizmie, o zawiązku reformacyi, charakterze jej i rozwoju; zaznaczymy tylko powagę, z jaką p. Kariejew przedmiot traktuje, to czysto-naukowe stanowisko, na które większość bawiących w Warszawie kolegów szanownego profesora wznieść się nie umie, albo też nie chce. Słaby jest jednak rozdział o reakcyi katolickiej, wątpliwości też budzą hazardowne sądy o stuleciu XVIII. Według autora, naród polski w ostatniej dobie swojej niezależności politycznej, a więc w końcu zeszłego stulecia, należał do najbardziej nietolerancyjnych zarówno w prawodawstwie, jak w obyczajach; tymczasem rzecz się przedstawia inaczej. Od połowy wieku XVIII duch katolicki powoli, ale nieustannie w Polsce upada; za Stanisława Augusta, zwłaszcza po kasacie jezuitów, ukazuje się w wykształconych sferach społecznych indyferentyzm religijny, przenikający nawet do mas. Bogata literatura sejmu wielkiego nia zna kwestyi wyznaniowej, co najlepszą usposobienia religijnego społeczeństwa stanowi miarę. Sejm czteroletni sekularyzował dobra biskupstwa krakowskiego, artykuł I ustawy 3 maja zastrzegł: „wszystkim ludziom jakiegokolwiekbądź wyznania pokój w wierze i opiekę rządową winniśmy i dlatego wszelkich obrządków i religii wolność w krajach polskich podług ustaw krajowych warujemy.“ Fanatyzm religijny był u nas, w pierwszej połowie wieku XVIII, budziła go za Stanisława Augusta ujmowaniem się swojem za dysydentami Rosya, wybuchał jednak bardziej ze względów politycznych, niż z usposobienia religijnego, czego najlepszym dowodem konfederacya barska. Niepodniecany sztucznie, pod wpływem oświaty zupełnie upadł. Księża nasi z końca wieku XVIII należeli do najwolnomyślniejszych, tak samo jak pralaci w stuleciu szesnastem.

Książka p. Kariejewa powstała z wykładów uniwersyteckich, mianych w r. 1879-80 w Warszawie. „Zainteresowanie się wykładami moimi (pisze autor w przedmowie) studentów przeważnie pochodzenia polskiego („polskawo proischożdienja“ zapewne polaków), skłoniło mnie do wystudyowania reformacyi w Polsce, do poświęcenia temu przedmiotowi czasu z uszczerbkiem nawet dla zajęć innych. Gdybym uprawiał zwyczaj dedykowania swych dzieł, miałbym najpoważniejszą racyę do poświęcenia książki byłym słuchaczom warszawskim na pamiątkę tego na gruncie naukowym sojuszu, który mi był bodźcem do pracy.“ Fenomenalny ten w naszych stosunkach „na gruncie nauki“ sojusz — wielki p. Kariejewowi przynosi zaszczyt.

Sm.

LITERATURA I SZTUKA.

Z ZACHODU.

VI.

Między hiszpańskiemi formułami modlitw na „odczynianie“ różnych chorób istnieje jedna zaczynająca się:

„A la puerta del Cielo
Polonia estaba
I la Virgen Maria
Alli passaba...“

Otóż Polonia stała u drzwi niebios, gdy przechodziła tamtędy Marya. „Polonio, co tu cobisz? Śpisz, czy czuwasz?“ „Pani moja, ani śpię, ani czuwam, ale z bólu zębów ledwo nie skonam.“ Więc Matka boska, zakląwszy po pogańsku „na gwiazdę Venus i wschodzące słońce,“ — rozkazuje: „Niech cię odtąd nie bolą ani szczęki, ani zęby.“

Broniąc niewinnego autora tego średniowiecznego *ensalmo* od posądzeń o aluzye polityczne, pośpieszam wytłomaczyć, że Polonia oznacza tu św. Apolonię, a przyczyną jej bólu szczęk było nie obcowanie ze złym sąsiadem, ale zapewne chłód, z jakim spotykała się za życia. Dość zaś modlitwę tę a raczej historyę odmówić nabożnie, aby wraz ustał ból, „jak ręką odjął.“ Gdyby to wszystkie bóle szczęk, powodowane „przyłożeniem“ ręki, daly się leczyć sposobem tak łatwym!

Nie wiem, czy pisano w *Prawdzie* o policzku, jaki wymierzył własnej swej ludzkiej godności Leo Taxil, pisząc *Spowiedź byłego wolnomyśliciela* i wstępując, po oblizaniu papieskich pięt, do klasztoru; zdaje się po to tylko, aby podpatrzeć tajemnice celi, jak podpatrzył tajemnice Loży i potem korzystnie je spieniężyć. Niepodobna nie zdziwić się, że kościół miał odwagę przyjąć na swe łono te nie błędną, ale kolowatą owcę i uwierzył w szczerość „ruszenia łaską przez instancyę Piusa IX w niebie.“ Jeżeli zaś to nawrócenie wyszło nie z obłudy, lecz z przekonania, to jest ono świeżą ilustracyą niezdrowego mistycyzmu, którego opary zawisły w paryskiej atmosferze, wywołując nową pannę Lenormand, jasnowidzące histeryczki i całą literaturę nie naukowego, lecz czarodziejskiego hypnotyzmu, z apostołem czwartego wymiaru, Katulem Mendèsem na czele; czekać tylko, rychło się zjawi nowy Albertus Magnus, a w buduarach dam zajmie miejsce Richepina nowy Grand Grimoire, czyli Klucz Salomona.

Ostatnich dni słyszy się wiele o interpelacyi w senacie z powodu przedstawienia Molierowego *Świętoszka* w seryi widowisk kosztem Rady miejskiej dzieciom szkół komunalnych; o komedyi Daudeta *Numa Roumestan*, przerobionej ze znanej powieści; o najnowszem dziele Bourgeta: *André Cornélis*, wreszcie o naukowej wyprawie do Delf, nietkniętych dotąd niemiecką łopatą a obiecujących wielkie skarby: świątynię Apollina i posągi Jony, Saturna, Dyany, Muz i boga pieśni, co „trafił“ Kassandrę, jak nam śpiewa Kochanowski, może też kilka złotych blaszek, równych Schliemanowskim, a które spadkiem po Helenie zabrało berlińskie muzeum... wszystko to po zburzeniu wioski, co sobie na gnieździe boga osiadła, ufna że jej ludzka nie wyruszy dłoń. Zabijać żywe, aby martwe wskrzesło — oto trud cywilizacyi, której własnych bogów brak.

Nie wiem równie, czy mówiono o ostatnim tomie głośnych szkiców dyplomaty, kryjącego się pod pseudonymem hr. Pawła Vasili w *Nouvelle Revue*, a nakreślonych ze śmiałością, dowodzącą, że autor musi zajmować niepospolite stanowisko społeczne, znać wybornie najwyższe sfery dworów: berlińskiego, wiedeńskiego, londyńskiego, madryckiego, petersburskiego, a to zacząwszy od osób panujących aż do fraucymeru. Zdradza on niezmierną zdolność spostrzegawczą zaostrzoną dowcipem, często złośliwością a zawsze dworactwem; wykazuje zwłaszcza spoufalenie się z polityczną całej Europy machiną.

Ostatni tom nosi tytuł: „Towarzystwo rzymskie,“ a przedstawia w wdzięcznych sylwetkach: króla Humberta z jego rubaszną nieco brawurą, królowę Małgorzatę z jej dziewczęcą ochotą życia, z urokiem uczonej i pani; królewicza, księżnę Matyldę i poufałych dworowi królewskiemu ministrów; przedewszystkiem zaś mistrzowski profil Leona XIII, raczej nie profil, ale wizerunek z przodu, bo rozpoczyna autor od jego szerokich ust, przypominających Voltaire'a — uśmiechem jeno, nie geniuszem; charakterystykę wszechstronną, wierną, złośliwą, papieża — polityka — poety — filozofa — architekta, łagodzącego gwałtowny postęp wiedzy teologią Tomasza z Akwinu, kłamiącego zimnem sercem palcom, kreślącym znak błogosławieństwa; poświęcającego godność dostojnej, bronionej dumnie, niewzruszenie przez ostatniego papieża stolicy swym ambitnym interesom.

Leon XIII nie chce umierać w „więzieniu,“ choć się zaklinał:

„...pro grege Christi
Dulce mori, ipsoque in carcere dulce mori.“

Ha, kto wie, Bismark stworzył tylu królów, może i jemu królestwo przywróci; tylko trzeba prosić grzecznie, grzecznie— i pokornie.

Podczas gdy we Francyi nawracają się niedowiarkowie, teolodzy niemieccy łamią własne krzyże i kotwice. W uczonym świecie kiwa się obecnie głowami nad najnowszą teoryą pochodzenia Apokalipsy *). Student teologii, p. Eberhardt Vischer stawia hypotezę, popartą przez znakomitego hebreistę prof. Harnacka, że Apokalipsa jest dziełem żydowskiem w szacie chrześciańskiej. Chrześciańskimi mają być jedynie pierwsze trzy rozdziały; w czwartym książka rozpoczyna się na nowo, a odtąd wszystko, prócz kilku ustępów i wyrazów, jest kompozycyą hebrajską. Rozdział 11 i 12, dające skończony obraz historyczny, mogły być, zdaniem autora, napisane jedynie przez żyda. To też prof. Harnack powiada w zakończeniu, że po odczytaniu Apokalipsy w tym świetle „łuska spadła mu z oczu.“ Czekajmy teraz, co powiedzą z jednej strony Renan, z drugiej—ks. Pawlicki.

Wiedza, wiedza! To Kronos, pożerający własne dzieci — jeżeli nie wąż, pożerający się ustawicznie od ogona, który odrasta ciągle, tak, że choćby wąż pożarł się do głowy, pokarmu nigdy mu nie braknie; wiedza, to Prometeuszowa kaźń, szarpiąca człowiekowi, po wykradzeniu zakrytych w naturze i dziejach tajemnic, mózg i serce. A przecież, choć z odkryć Kopernika światu jeden nie przybędzie atom, choć z odgrzebania belwederskiego Apolina na ziemi jeden więcej nie wyrośnie kłos, bieży człowiek za kuszącym go chochlikiem, choć wie, że go nigdy w dłoń nie chwyci, a wszedłszy w zaczarowany jego świat, sta-

*) *Texte und Untersuchungen zur Geschichte der altchristlichen Literatur.* II, B. H. 3. *Die Offenbarung Joannis*, von Eb. Vischer, Leipzig 1887.

je się dzieckiem i zastanawia, jak dziecko, pilnie nad motylem skrzydłem i wiejską piosenką... I wszystko tam zda mu się wielkie i ważne i piękne.

Wiedza, to wąż — porównanie brzydkie! Wiedza, to kobieta: nigdy nie można być pewnym, że się ją posiada całą i na wieki. Sama też ona — obmawiać nie chcę, ale wierzę święcie — zostawia w sercu kącik dla tych, co przyjść mogą, uśmiechu jej godniejsi. Poecie jest kochanką, uczonemu — żoną, dur.... niepochwytną zawsze dziewicą. Oto przynajmniej jedna panna, której nie omami gładkie liczko, jedna, której nie olśni mitra, w wieku, kiedy lada gąska, jeszcze matczyną ssąca pierś (jakby rzekł poeta) wie, że słodsza miłość w pałacu, niż w chacie, za adamaszkową kotarą, niż pod perkalikiem. Dlaczego, o! toć więksi odemnie o tem już mówili:

Bo kobieta jest człowiekiem — jak powiedział P. Chmielowski.

Bo kobieta jest kobietą — jak powiedział Rabelais.

Egrot.

LITERATURA POLSKA.

St. Tarnowski: *Studya do historyi literatury polskiej.* Pisarze polityczni XVI wieku. Tom I. II. Wydanie Akademii umiejętności (wydział filozoficzny). Nakładem autora. Kraków, 1886.

Po raz pierwszy występuje p. Tarnowski z dziełem większem, poważnem, uważanem przez samego autora za *„spełnienie* bardzo dawnych zamiarow," godzi się więc przy tej sposobności wyciągnąć stąd kilka ogólniejszych uwag. Dotychczasowa działalność p. Tar., głównie publicystyczno - literacka, ugrzęzła w czasopismach (*Przeglądzie polskim* i *Czasie*), albo ulotniła się w odczytach (tylko cząstkę drukowały np. *Biblioteka warszawska* i *Kronika rodzinna*), lwią część pochłonął wir życia publicznego i towarzyskiego. Hr. T. piastuje bowiem wysokie urzędy i godności: jest profesorem—obecnie rektorem — uniwersytetu w Krakowie, członkiem rady szkolnej krajowej we Lwowie, członkiem Izby panów w Wiedniu i posłem na Sejm krajowy, sekretarzem generalnym Akademii umiejętności, współwłaścicielem i współredaktorem *Przeglądu polskiego, Czasu* itd. itd., należy do niezliczonych komitetów, rad, komisyj, klubów, bractw i towarzystw. W tej różnorodnej i rozstrzelonej czynności, w której czasem tylko tarczę swoją wywiesza, przejawia się charakter jego, jednolitość przekonań religijnych, politycznych, społecznych i naukowych, znamionująca każde jego wystąpienie, od mowy sejmowej aż do pogadanki literackiej, od nekrologu, sklejonego pod bezpośrednim wrażeniem, aż do uczonej rozprawy w rocznikach Akademii. W sprawach religii jest najpotulniejszym uczniem ks. Kalinki, w polityce najulubieńszym wychowańcem Szujskiego, w literaturze najgodniejszym następcą Klaczki. Tym trzem „mistrzom" swoim — sam mi to opowiadał — zawdzięcza ten kierunek, to stanowisko, które jako pisarz i działacz zajmuje. W ogłoszonych obecnie „Studyach do historyi literatury polskiej," mając już za sobą ćwierć wieku pracy publicznej i pół wieku życia, występuje wyraźnie nietylko to przez wychowanie i otoczenie głęboko wyciśnięte piętno stańczykowskie, ale wychodzą na jaw z całą dokładnością także wrodzone wady i zalety.

Zacznijmy od tych ostatnich, więcej zewnętrznych rysów. Już sama forma, język i styl — nie mówiąc o wydawniczym stroju książki — zdradza arystokratę, który urodzony w zbytkach, poznał świat w salonach tylko lub w podróży, nie skosztowawszy twardej o kawał chleba walki, z jej złemi i dobremi następstwami. Styl to salonowy, uszlachetniony talentem, ale na sposób arystokratyczny, zaniedbany i gęsto przeplatany cudzoziemczyzną. Szeroko i potoczyście nieraz płynący tok opowiadania, staje się najczęściej rozwlekłym i gadatliwym aż do znudzenia, czuć w nim więcej retora i mówcę, niż pisarza lub artystę, przeważa efektowność i maniera — cechujące zresztą profesora w każdem wystąpieniu — nad prostotą i naturalnością, ale widać także bogato z natury uposażony umysł, żywą i ruchliwą fantazyę, delikatne dotknięcie i pewną lekkość pióra. Życie publiczne, któremu się oddał z całą krewkością swego temperamentu, a które zajmowało obok salonu drugie miejsce w kształtowaniu jego charakteru, zrobiło z hr. Tarnowskiego *par excellence* publicystę i pisarza okolicznościowego. Tłomacząc się z wadliwości swych „Studyów do historyi literatury", powiada wyraźnie, że „zawsze tylko pisywał do pism peryodycznych i zawsze w pośpiechu na pewien termin." Że każdy z nas pisać musi „w pośpiechu na pewien termin," to rzecz jasna, chociaż bardzo smutna; ale żeby milionowy magnat potrzebował krępować się terminem — to do uwierzenia trudne, a przecież prawdziwe, a nawet bardzo naturalne. P. Tarnowski poświęcił się cały na usługi partyi, której obecnie jest przewódcą; wszystko więc, co mówi, co pisze, co robi, zmierzało i zmierza do tego celu. Okoliczność ta nadaje pracom jego naukowym charakter publicystyczny i stronniczy. I „Studya do historyi literatury," chociaż wychodzą w świat pod egidą „nieśmiertelnych," nie są dziełem czysto naukowem, przynajmniej obok celów ściśle naukowych, a nawet ponad nimi górują dążenia współautora „Teki Stańczyka."

Traktowanie to literatury ze stanowiska społeczno - politycznego ma swoje dobre strony i w tym względzie nawet przewyższa on szkołę lwowską, która w „badaniach" dlatego tylko nie pokazuje swej barwy politycznej, bo jej nie ma — chociaż ona to z ciasnego stanowiska szkolnego patrząc na świat szeroki, zarzucając autorowi zawsze „brak metody krytycznej" bierze mu za złe, że chce swojemi naukowemi nawet rozprawami działać, że zmierza do jakiegoś celu praktycznego. Stanowiska swego broni p. T. w niniejszych studyach politycznych, odpowiadając na te zarzuty słowami Pisma św.: „biada wiedzy, która nie pomaga wiedzącemu," dodajmy z naszej strony: „i która nie przynosi korzyści społeczeństwu." Bezkrwisty „badacz," w którego żyłach płynie woda, nie krew, wydrukowałby o pisarzach politycznych XVI wieku uczone dzieło z całym aparatem krytyki i przedmiotowości, a nikt by się nie dowiedział o jego własnych przekonaniach politycznych; p. Tarnowski popada w drugą ostateczność, pisze z tendencyą katolika o naszych reformatorach XVI w., z monarchiczną lojalnością o republikanach szlacheckich, z socyologią stańczykowską o genialnych politykach epoki odrodzenia. Nie przekręca wprawdzie, nie fałszuje słów pisarzy, o których mówi, nie podsuwa im myśli, jakich nie mieli, ale wychodzi ciągle z założeń fałszywych, z teoryi „konserwatora," porwany nieraz własnem upodobaniem lub uprzedzeniem. I tak np. objawia Ostrorogowi niechęć dlatego, że był pisarzem nad swój wiek postępowym, a może i dlatego, że go wynoszą historycy liberalni. Natomiast wyszrubował na szczyty literatury politycznej jakiegoś Zaborowskiego, może stąd, że w „odrodzeniu" trzymał się obu rącz średniowiecczyzny i dogmatu. Obok tej tendencyjności stronniczej, razi w tych studyach politycznych zupełna, szczera czy udana, nieznajomość nowszej socyologii, wogóle dzisiejszego stanu nauk społecznych, a odbija to się fatalnie nietylko na własnych poglądach autora, ale i przy ocenie pisarzy politycznych. I tak np. na wszystkie gwałty i nadużycia stanu szlacheckiego — który zresztą potępia — zapisuje jedno powszechne lekarstwo: absolutyzm tronu dziedzicznego Polski i karci wszystkich polityków innego zdania. Sejmom np. wolno uchwalić podatki lub ich odmówić, ale prawo stanowienia o pokoju lub wojnie musi być — zdaniem jego — „nie w ręku sejmu, ale w ręku króla." Pod koniec XIX stulecia domaga się władzy kościoła, nietylko w rzeczach wiary, ale nawet w takich sprawach, jak unieważnienie małżeństwa, albowiem „dziś i zawsze zdarzają się takie sprawy sporne, takie procesy, które bez tej najwyższej instancyi (papieża) obejść się nie mogą" (!). „Każda społeczność ludzka zasadzać się musi — zdaniem jego — na wierze, która bez hierarchii i władzy kościelnej być nie może, i na rządzie świeckim króla." „Upadek kościoła i wiary katolickiej były wtedy (tj. w XVI w.), jak dziś, upadkiem całej Polski." Wychodząc z tych zasad, bierze za złe dysydentom, że tę jedność kościoła naruszyć śmieli, że się domagali wolnego głosu w religii na równi z duchowieństwem katolickiem, potępia zasadę wybieralności i wszystkie demokratyczne pierwiastki ich kościoła, „gdyż w skutkach swoich taka organizacya kościoła prowadziła do religijnej obojętności i do religijnego despotyzmu." Orzechowskiemu poczytuje za największy grzech to, że występując przeciw jarzmu bezżeństwa księży, sam się ożenił, będąc księdzem katolickim, czyli że według tej teoryi, nie należy czynem stwierdzać swoich zasad. Kwestyę socyalną radby jeszcze zażegnać radami Frycza Modrzewskiego, w którym widzi największego polityka współczesnego w Europie, chociaż już utopiści przewyższali go o całe niebo. „Poprawa obyczajów jest potrzebna, ale nie zależy od prawa, tylko od sumienia i woli osobników," a zatem źle i niepolitycznie postępuje Wolan, jeżeli „żąda prawa przeciw obżarstwu i pijaństwu, wystawnym ucztom, strojom i pociągom," a przecież prawo takie mogłoby było urządzić Rzeczypospolitej smutnej pamięci czasy saskie, tę uwerturę do krwawej opery... W samem założeniu pracy tkwi błąd organiczny i zamiast streszczać i roztrząsać dość luźnie, bo chronologicznie tylko obok siebie zestawione pisma i broszury naszych polityków i niepolityków, nie budzące już dzisiaj żadnego interesu, należało odnieść je do pewnych, ogólnych praw i zasad politycznych, a uwydatnić i rozebrać tylko najbardziej znamienne i typowe objawy literatury politycznej. Całemu dziełu brak organicznej kompozycyi; jest to szereg rozpraw częściowo pomieszczanych w *Przeglądzie polskim*, zeszytych razem, potem dopełnionych, tu i owdzie sklejonych cementem poglądów autora, błyskotliwych nieraz, ale bardzo jednostajnych. Tłomaczy się to nawyknieniem do pisania samych tylko drobnych rzeczy w pismach peryodycznych, a wskutek tego brakiem biegłości w większych formach i planach.

Mimo te wady i niedostatki jest dzieło p. Tarnowskiego pierwszem, traktującem o naszych statystach XVI wieku, nabytkiem ważnym, już to z powodu objęcia całości przedmiotu i odnośnej literatury, którą zbadał dokładnie, już to dla barwnej charakterystyki niektórych postaci, np. Orzechowskiego, Warszewickiego, Modrzewskiego.

Z.

Literatura czeska.

JULIUSZ ZEYER
i jego ostatni utwór.

Doszedłszy do połowy długości najpiękniejszej ulicy w Pradze, spostrzega się przytykający pod prostym do niej kątem szeroki plac, a raczej bulwar, który biegnie

prosto i bardzo daleko, wspinając się powoli w górę i przedstawiając jedną z najpiękniejszych perspektyw w stolicy czeskiej. Na wyższym końcu jego wznosi się olbrzymi gmach, jeszcze nieukończony, ale zapowiadający coś wspaniałego i pięknego; jest to nowy pałac Muzeum czeskiego, które tak w księgi, przedmioty sztuki, okazy przyrodnicze i antropologiczne urosło, że skromna przestrzeń domu na Przykopach, dotychczas za przytułek mu służąca, oddawna już nie wystarcza.

Przyszłe to siedlisko Muzeum stoi na granicy Pragi właściwej. Za niem rozpoczyna się inne miasto, nie tylko noszące odrębne nazwisko, ale oddzielone od „złotego“ grodu czeskiego linią celną, posiadaniem odrębnego ratusza i odrębnej fizyognomii. Nazywa się ono „Královské Vinohrady“; rozłożyło się na kilku wzgórzach, a zabudowało się niedawno; to też ulice ma proste, szerokie, domy przeważnie wielkie, wysokie, architektury wytwornej, przypominającej Paryż i Wiedeń, kilka alei, które, gdy drzewa ich podrosną, dorównają pięknością cienistym ulicom Filadelfii i Nowego-Yorku. Ale najmilszem dla słowianina znamieniem tego przedmieścia jest przeważna jego czeskość. Nie tylko nadpisy i znaki na ulicach są tam czeskie, ale mieszkańcy prawie wyłącznie tej są narodowości, tak, iż na ulicach Winohradów daleko rzadziej, niż we właściwej Pradze, mowę niemiecką usłyszysz. Nazwiska ulic stanowią cały katalog znakomitości czeskich: alea Palackiego, Halka, ulica Komeńskiego, Szafarzyka, Jungmana, plac Tyla itd. itd.

Zatrzymajmy się chwilę na tym placu. Na rogu jego wznosi się ładna kamienica o kilku piętrach. Na jednem z wyższych mieszka poeta, którego nazwisko na tytule wypisaliśmy.

Poznać schronienie jego po mnóstwie zieleni w oknie przedpokoju, wychodzącego na balkonową galeryę. Na pierwszym kroku, po wejściu do cichego przybytku J. Zeyera, uderza nas niezwykły dobór sprzętów: wszystkie one są niedzisiejsze, staroświeckie; piękne szafy i stołki rzeźbione, makaty starożytne, fotele z XVII wieku, pulpity i poduszki jakieś nieznane a gustowne, wszędzie po kątach półki z książkami, a na ścianach piękne malowidła; w pokojach panuje miły półcień, płynący od ciężkiemi kotarami przysłonionych okien; cisza i spokój, bo gospodarz mieszka samotny; śpiewał tyle o miłości, ale w jej sidła nie dał się pojmać, przynajmniej w te sidła, które nasz wieszcz nazywa żywym pogrzebem.

Twarz Zeyera, jak pieśni jego, miła, melancholijna, z wyrazem rzewnym i szczerym; piękne oczy patrzą głęboko i rozumnie; rysy dziwnie podobne do głośnego dziś generała Boulangera; zarost ciemny, wzrost niewielki, głos cichy i jakby nieśmiały. W całem ujęciu jego wiele dystynkcyi i uprzejmości. Mówi mało, więcej słucha, często się zamyśla; rozumie dobrze po polsku, ale woli mówić po czesku, bo też ma do tego prawo: któż jak on włada piękną tą mową, czy ją wiąże w strofy poezyi, czy w dźwięczną prozę?

Wiele czytał i myślał, wiele, jak się zdaje, cierpiał; mówią o jakiejś miłości nieszczęśliwej... Bardzo wiele podróżował: oprócz klasycznych krain Europy, wędrował po Hiszpanii, Grecyi, Krymie; kilka lat przemieszkał w Rosyi i poznał dobrze jej mowę i życie.

Myśl jego wybiega chętnie za widnokrąg najbliższy; nie lubi myśleć i mówić o chwili bieżącej; jak wszystkie umysły wyższe, ma zabarwienie trochę pesymistyczne: rozstroj, wynikający z niezgody rzeczywistości z ideałami. Kocha swoje Czechy, ale duszy jego w tych Czechach za ciasno. To też w pieśni jego plącze się mnóstwo wątków obcych, tak samo, jak u Vrchlickiego, za co obu poetom wiele wyrzutów czyniono zobozu patryarchalno-czeskiego, który by rad słuchał piosenki tylko o ludku wiejskim i o górach czeskich.

Przeważnem znamieniem utworów Zeyera jest fantastyczność; wyobraźnia jego poi się wymarzonemi barwami cudnej przyrody południa, przebrzmiałymi wątkami poetów średniowiecznych Włoch i Francyi, skacze po osnowę nawet do dziewiczej Japonii i do Chin zamurowanych; postacie jego są zwykle, jak sam wieszcz, melancholijne, rozmarzone, jednem jakiemś głębokiem uczuciem opanowane; działają u niego sprężyny, tak rzadko dziś używane — cudowność, lunatyzm. A wszystko to na tle osyanicznej mgły jakiejś, tęsknoty i marzycielstwa, przybrane w dziwnie urocze dźwięki śpiewnego, dziecięcego prawie języka.

Ostatnim utworem sympatycznego poety czeskiego jest poemat pod napisem *Olgierd Giejsztor*; wydrukowano go w drugiem półroczu tygodnika literackiego *Lumir*.

Pomysł do utworu tego wziął poeta z powiastki Bandella, pisarza włoskiego z XV wieku. Widownię przeniósł na Żmudź i do Pragi; bohaterem uczynił młodego rycerza żmudzkiego, a bohdanką jego — królowę Annę, zwaną w Czechach Jagielonką, siostrę ostatniego Jagiełłowicza węgiersko-czeskiego, który zginął pod Mohaczem.

Młody Olgierd, wychowany w cichym zakątku Żmudzi przez dobrą matkę i wędrownego starca czecha na romantycznego rycerza, wykarmiony podaniami Litwy pogańskiej i rozmarzony powieścią czecha o pięknej rodaczce jego, połączonej niegdyś z rodem Giejsztorów, straciwszy matkę i przyjaciela, puszcza się na swym białym rumaku do Czech i tam znajduje opiekę w domu możnego pana czeskiego, który, według podania, ma być krewnym owej czeszki, prababki Olgierda. Los chce, aby młody litwin ujrzał Annę Jagielonkę, już jako żonę cesarza Ferdynanda, i aby się w niej śmiertelnie zakochał. Dzieje tej smutnej miłości, wśród której kilka chwil tylko szczęścia błysnęło, zajmują główną część poematu. Złamany na ciele i duszy Olgierd wraca do domku rodzinnego; ale po latach wielu budzi się w nim nieprzeparte pragnienie ujrzenia raz jeszcze Pragi i wielbionej Anny. Jedzie więc znowu do Czech, trafia na śmierć królowej i sam umiera ze smutku.

Do tej tęsknej historyi poeta czeski potrafił wdzięcznie wpleść śliczne epizody, zaczerpnięte z podań litewskich. Poemat napisany wierszem bez rymów, ślicznym językiem, tchnie prostotą i rzewnością. Co krok spotyka się w nim to wytworne porównanie, to wyrażenie lub zwrot niepospolity; opisy przyrody i uroczystości praskich błyszczą wszystkiemi barwami tęczy i jasności niebieskich.

Piękny to utwór, zasługujący na poznanie i przekład; dla nas podwójnie miły, bo na tle czeskiem osnuty, a przetkany wątkami naszymi.

Jan Karłowicz.

POEZYA.

RYMY
autora „STROF.“

I.
Dolor.

Ach! Pocóż myśli oblekać w kiry?
Stroić się smutku welonem?
I bez posępnych akordów liry
Życie żałobnym drga tonem.

Chcę śpiewać nutą — co smutek koi,
Pociechy urok posiada...
Płonne zabiegi! Rytm piosnki mojej
Wciąż w smutną zwrotkę się składa...

II.
Przez wieki.

Promień świetlany, co z niebios zlata
To odblask światów dalekí...
Choć gwiazda zniknie w kręgach wszechświata
On jaśnieć będzie — przez wieki...

Tak arcytwory ludzkiego ducha
Trwają przez życie stuleci...
Czaszki geniuszów noc kryje głucha
Ale ich promień wciąż świeci...

III.
Magistra vitae.

Cmentarzem nie jest „życia mistrzyni,“
Gdzie ludów piętrzą się groby...
Nie jest posągiem martwej bogini
Przybytkiem łez i żałoby...

Jest ona prawdy ogniskiem żywem,
Zniczem duchowych ołtarzy,
W łańcuchu wieków — jest tem ogniwem,
Co grób — z kolebką kojarzy...

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Telegramy wojenne i karnawałowe. — Rozmowa Bismarka z p. Eynernem. — Humor polski jako cenna reszta polityczna. — Obawa przed narodami poważnymi. — Odezwa obywateli galicyjskich. — Przemilczany szczegół. — Kogo lękać się należy. — Trucie robotników. — Zwycięzcy w walce o byt. — Pomyślny stan Towarzystwa muzycznego. — Jubileusz Puszkina. — Poeta rosyjski w oświetleniu p. Spasowicza i p. Pypina.

Przez tydzień ostatni telegramy wojenne ścigały się z karnawałowymi: w pierwszych główną rolę grali francuzi, w drugich — my. Te „nasze“ tłumiły sztucznie trwogę pierwszych i powstrzymywały giełdę od rozpaczliwych skoków na dół. Bo rozumowano słusznie: czy podobna, ażeby wybuch wojny był blizkim, jeżeli najbiedniejszy naród tak hucznie obchodzi zapusty, a jego bale rozbrzmiewają sławą po całej Europie? Ktoś zrobił uwagę, że właśnie „bal dziadowski“ wyprawianym bywa w najsmutniejszy dzień Zaduszek, ale uznano to za prosty koncept, zwłaszcza że potwierdziła ów wniosek następująca pogłoska. Jegomość zdolny do wszystkiego i najlepiej odkarmiony piersiami funduszu gadzinowego, niejaki Eynern, poseł i redaktor *Köln. Ztg*, zapytał ks. Bismarka, czy będzie wojna?

— Tyle wiem — odrzekł kanclerz — co i ty, kochany panie Eynern. Z początku sądziłem, że starcie jest nieuniknione, ale teraz...

To mówiąc, podał swemu przyjacielowi dwie depesze od ambasadorów z Wiednia i Petersburga. W wiedeńskiej p. Eynern przeczytał te wyrazy: „Bal polski odbył się istotnie z olśniewającą świetnością. W mazurze dokazywano cudów energii, kotylion, w którym, zamiast zwykłych znaczków, przypinano tancerzom oryginalne kartki wygnańcze policyi pruskiej, budził powszechną wesołość. Każda z dam otrzymała wachlarz kosztowny, na którym wypisane były rozmaite paragrafy ustaw przeciwko polakom. Zapał do zabawy nieopisany.“ Podobną treść zawierała druga depesza.

— A jednak przypuszczałem — rzekł p. Eynern — że im odbierzemy dobry humor.

— Gdybym nawet mógł — zauważył kanclerz — tego im nie zabiorę. Bo proszę cię, czy można żądać dowodniejszego świadectwa, że ich uszczęśliwiamy? Niech tańczą, niech się cieszą, sam z nimi stanę do mazu-

-ra. Ich smutek byłby dla nas oskarżeniem. A już dosyć mamy tych lamentów. Francuzi są w tym roku smutniejsi, a przynajmniej poważniejsi — to mnie niepokoi.

— Więc wojna?

— Nie wiem, kochany panie Eynern, zależy ona od tego, kiedy się skończy karnawał narodów, a zacznie post. Boję się ludów poważnych, z wesołymi dam sobie radę.

Gdy redaktor *Köln. Ztg* wyszedł i pospieszył na giełdę dla zrobienia kilku tranzakcyj zwyżkowych, kanclerz zajął się czytaniem telegramów, które mu w tej chwili przyniesiono. Były to raporty karnawałowe konsulów niemieckich przeważnie ze wschodu. Książe przeglądał je widocznie zadowolony, a nad jednym tak się śmiać zaczął, że aż wbiegł z drugiego pokoju zięć.

— Co się stało?

— A no zobacz, mój drogi.

P. Rantzau wziął papier: *„Kuryer warsz.* donosi zgodnie z mojemi, gdzieindziej zaczerpniętemi wiadomościami: Tegoroczny karnawał w Lublinie upłynął wpośród wielu i rozmaitych bardzo zabaw. Bale jedne po drugich następowały z gorączkowym jakimś pośpiechem. Oprócz tego bywały maskarady na lodzie i dla niższej klasy maskarady na Bronowicach. Choć bieda, to hoc!— dodaje organ wspomniany.“

— Uważasz — mówił Bismark — nawet Lublin, nawet Lublin. *Nettes Volk.*

Jakkolwiek wykup ziemi polskiej przez komisyę kolonizacyjną w Poznańskiem rozpoczął się już dawno i zrobił znaczne postępy, dopiero teraz grono obywateli galicyjskich ogłosiło odezwę, wzywającą do nabywania akcyj „Banku ziemskiego.“ W porze „balów“ rzeczywiście trudno było przemawiać do uczuć i kieszeni, w karnawale na poświęcenia inne, niż nożne, zdobyć się nie możemy, od ofiar i pokuty jest przecie post. Odezwa ta brzmi dosyć charakterystycznie. Z całą mocą uderza na prusaków: „U schyłku dziewiętnastego stulecia, wieku szeroko rozpostartej cywilizacyi i sławionego postępu, stoimy przed faktem niespotykanym (!) w dziejach, a noszącym znamiona dzikości zamierzchłych barbarzyństwa czasów, jakby cofnięcia się w wieki, nieznające zasad chrystyanizmu.“ Wspomniawszy o „assyrach, persach i rzymianach,“ którzy tylko „kolonizowali ziemię siłą prawa mocniejszego,“ autorowie odezwy wołają: „Nie mogąc, jak przodkowie nasi, piersiami i krwią bronić ojczystej skiby, rzucamy na szalę spokojnej walki, jak Brennus (!), nie miecz, ale grosz wdowi.“ Pomijając nieszczęśliwe wywody historyczne, przekonywające, że szan. grono obywateli nie zna dziejów nietylko starożytnych, ale najnowszych, pomijając dziwaczne porównanie akcyonaryuszów Banku i obrońców ojczystej skiby z Brennusem, dzikim najezdcą Rzymu, uderza szczególnie przemilczenie win własnych, swojskich, daleko cięższych, niż „barbarzyństwo krzyżactwa.“ Owo bowiem „barbarzyństwo“ jest tylko okrutnym egoizmem państwowym, ale czem jest dogadzająca mu przedajność? Rząd pruski *nie wywłaszcza* przymusowo polaków z ziemi, tylko ją od nich *nabywa* w dobrowolnym handlu. Kto stoi moralnie wyżej: czy prezes niemieckiej komisyi kolonizacyjnej, który kupuje ziemię dla dobra swego rządu, czy p. Łyskowski lub inny handlarz, który mu ją sprzedaje na szkodę swej narodowości? Tamten działa przynajmniej w interesie swego państwa, ten wyłącznie w interesie swej kieszeni; tamten jest politykiem, ten?... Pierwszy nic by nie zrobił bez pomocy drugiego, który jest właściwym „barbarzyńcą“ i przeciw któremu Bank ziemski głównie zwrócić się powinien. Nie trzeba bronić „ojczystej skiby“ od niemców, którzy jej siłą nie wydzierają, ale od spodlonych „obywateli,“ którzy ją za dobre pieniądze każdemu odstąpią. O tych szkodnikach, o usiłowaniach w tym kierunku odezwa nic nie wspomina, kreśląc tylko rozpaczliwy obraz stada jagniąt, napadniętych przez wilki i zapominając o pasterzach, którzy wilkom otwierają wrota. Bo są to wprawdzie — jak się wyrażają niektóre dzienniki konserwatywne — fakty „pożałowania godne,“ nad którymi „trzeba ubolewać,“ ale wina spoczywa głównym ciężarem po innej stronie. Ciekawa rzecz, czemu każdy wódz wiesza szpiegów, a nie wiesza wodza armii przeciwnej, który ich najął i na zwiady wysłał? A chyba słusznie robi. My natomiast wieszamy przeciwników, walczących z nami otwarcie.

Roku bieżącego „dziwnie ochoczemu“ karnawałowi życie dostarczało prześlicznych ilustracyj. Znamy jedną kartę, obejrzmy inny obrazek rodzajowy. W pewnej kotlarni warszawskiej — jak donosi *Kur. warsz.* — kilku robotników nagle omdlało. Wyniesieni na świeże powietrze, odzyskali przytomność, lecz jeden z nich tak mocno zaniemógł, że go musiano odwieźć do szpitala. Tu lekarze dostrzegli zatrucie wyziewami z kwasu solnego i znaleźli, że stan chorego jest niebezpieczny. „Robotnik opowiedział, co zresztą potwierdzili jego towarzysze, że warsztat kotlarski, w którym pracuje 15 ludzi, ma zaledwie 20 łokci długości, jest niski, a w zimie, gdy okna są zamknięte, nie posiada żadnej wentylacyi. Ponieważ robotnicy zajęci są wybielaniem kotłów, łatwo więc sobie wyobrazić, jakie zatrute powietrze wynika z rozmaitych substancyj, które są używane do pobiały.“ Przepraszam, wcale „niełatwo sobie wyobrazić,“ trzeba takiem powietrzem chociaż raz odetchnąć. *Kuryer* dodaje, że „śledztwo administracyjne i sądowe zarządzono“; odkryje ono nam niewątpliwie jeszcze więcej ciekawych szczegółów.

Wogóle inspektorowie fabryczni mają wzniosłe i wdzięczne zadanie. Tu humanizmowi nie brak bagien do szlamowania, bagien strasznych, gnijących i ziejących zarazą. Ich ił, wysuszony i rozpylony, jest właśnie tym rozpalającym proszkiem, którym w swej medycynie posługują się nowocześni a radykalni znachorzy społeczni.

Z gwarem karnawałowym, z brzękiem dzwonków kuligowych przeleciał niepostrzeżenie fakt bardzo przyjemny. Towarzystwo Muzyczne, które pierwotnie było przedmiotem namiętnego sportu, a później pustoszejącą stodołą, skąd nawet wróble uciec chciały, owo Towarzystwo, które w ostatnich latach stało się wiatrakiem przez różne wichry w odmienne strony kręconym, w tegorocznym rachunku wykazało względny przyrost członków i przewyżkę dochodów nad wydatkami. Nie o kilkaset rubli zaoszczędzonych chodzi, ale o ten przyjemny objaw, że pożyteczna instytucya wstrzymała się w swym upadku i odzyskała ruch rozwojowy. Wszelkie stowarzyszenia tak szybko u nas rozpadają się i walą, tak przywykliśmy do tego fatalizmu, że szczególną rozkosz sprawia pomyślny stan któregokolwiek. Gdy jeden niemiec ma w swej naturze nacięte karby, drugi z pewnością posiada odpowiednie im rowki, obaj doskonale do siebie przystają i działają jak dopasowane tryby. Polacy, przeciwnie, karb uderza o karb, dopóki się nie wyłamią i maszyna, w której mieli rolę kółek, wyszczerbiona nie stanie. Taki zwykle bywa los rozmaitych naszych towarzystw, spółek, związków itp.

Pięćdziesiątą rocznicę śmierci Puszkina w prasie polskiej uczcił ze szczególnem odznaczeniem *Kraj* petersburski. Na cień poety rzucił z oddalenia smugę bengalskiego światła p. Spasowicz, który już dawniej przedstawił żywy obraz z Puszkina i Mickiewicza, okrytych jednym płaszczem przy posągu Piotra W-go. Ktoby chciał wskrzesić po latach 50 polityczne dźwięki uczczonej liry, niech przeczyta pierwsze karty pięknej, w tłomaczeniu polskiem przez nas wydanej pracy Pypina p.t. „Kwestya polska w literaturze rosyjskiej.“ Na tle tej „kwestyi“ odrysowany tam Puszkin wyraziście i umiejętnie. Rysunek ten wcale nie potwierdza słów p. Spasowicza, że Puszkin był „wyłącznie poetą i tylko poetą,“ tak jak znowu inne względy nie pozwalają się zgodzić na to mniemanie, że „teraz sława jego (poety) wznosi się, jak pagórek (!), a za lat 50 panować będzie, jak piramida Cheopsa.“ Co do teraźniejszości — sława ta w Rosyi nie jest „pagórkiem,“ ale „piramidą,“ co zaś do przyszłości, krytyk zapomniał, że jeśli chciał być konsekwentnym w swej wróżbie nie należało mu stawiać Puszkina w „drugim rzędzie“ geniuszów, między Mussetem, Heinem i W. Hugo, lecz w pierwszym, który — według niego — składają: „Homer, Dante i Szekspir a może i Goethe,“ bo dla tych tylko wzrastać będą „piramidy.“ W nawiasie dodam, że wszystkie tego rodzaju podziały i szeregi wielkich są o tyle sztuczne, o ile w ułożeniu ich stosowane są dwie miary: ogólno-ludzka i narodowa. Tak np. Mickiewicz mniejszy wpływ wywarł na ludzkość, niż Musset lub W. Hugo, ale na swój naród oddziałał daleko potężniej, jako więc poeta narodowy stanowczo stoi w „pierwszym rzędzie“ geniuszów.

Ale wracam do Puszkina: przeczytajcie więc mowę p. Spasowicza, ale i wywody jego niegdyś wspólnika literackiego p. Pypina.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Systemat słoneczny krajowy. — Karystya na prelegentów i korespondentów prowincyonalnych. — Marysia. — Co można zrobić z ogłoszeń? — Lekarz samorodny. — Czy wiara będzie skuteczną?

Istnieją całe szeregi zjawisk społecznych, których wyjaśnienie i podciągnięcie pod prawo ogólne zależy od należytej odpowiedzi na pytanie: jaki też wywiera Warszawa wpływ na prowincyę? Widzimy np., że w każdem niemal donioślejszem dziele zbiorowem udział Warszawy bywa większy, niż całej, którejkolwiek gubernii. Czy chodzi o składkę na cel filantropijny, czy o zastosowanie nowego udoskonalenia technicznego, czy o zabawę, czy o pracę, zawsze Warszawa pozostawia resztę kraju za sobą na ogromny dystans. Częstokroć szczupła gromadka, na dalekim wschodzie zamieszkała, nadspodziewanie wielką okazuje ruchliwość i zajęcie się sprawami ogółu gorętsze, czynniejsze, skuteczniejsze, niż tu na miejscu jedno albo i parę miast gubernialnych razem wziętych. Czemu to przypisać? Przyczynom dość licznym i dość złożonym.

Rzecz niezawodna, że w wielkiem jeziorze fala swobodniej się kołysze, niżeli w ciasnej sadzawce, i że stara maksyma: „kto nad korzec głowę wychyli, tego strychulcem w łeb“ najdoskonalej bywa stosowaną tam, gdzie korczyk jest mały.

Lecz obok tego wątpliwości nie ulega, że Warszawa przyciąga do siebie najenergiczniejsze i najzdolniejsze, lub tylko najruchliwsze i najryzykowniejsze jednostki, a tę atrakcyjną siłę wywiera potężniej w bliższym, niżeli w dalszym promieniu. Stąd po za nią widzimy temperament limfatyczniejszy, ospalszy...

Opiłki żelazne, rozsypano dokoła silnego magnesu, nie układają się swobodnie, ale w linie promieniste, od magnesu zależne. Planety ruch około własnych osi nawet odbywają w ten sposób, jak gdyby się toczyły po ogromnej obręczy, opasującej słońce. Taki właśnie brak samodzielności dostrzegamy w miastach prowincyonalnych. Warszawa urządza szereg odczytów — prowincya nie zdaje się przypuszczać, aby podobna rozrywka była dla niej dostępną. Tameczni lekarze, prawnicy, technicy ani śnią o tem, żeby swemi wiadomościami teoretycznemi, wzbogaconemi przez spostrzeżenia i doświadczenia życiowe, podzielić się z tłumem słuchaczów. Małoduszna obawa pocisków

złośliwej krytyki wzajemnej, rozleniwienie, drażliwość na drobne przeszkody, które pokonywać tem trudniej, im rzadziej torowaną bywa droga przez te przeszkody i ponad niemi wiodąca, miłość własna, która tak silnie drga w ulubionym frazesie: „starosta albo kapucyn!“ — wystąpię z czemś imponującem, lub nie wystąpię wcale; wszystko to razem oddziaływa na prowincyę tak, jak mroźny wiatr i śnieg sypki na pieszych wędrowców. Czapkę naciskają na uszy, kołnierz podnoszą do góry, otulają się szczelnie, wzrok mają tylko dla wązkiej ścieżyny, przed nimi wydeptanej, po której kroczą zwolna, radzi, gdy do nikogo ze współpodróżnych odzywać się nie potrzebują.

Podobna martwota odbija się i na współpracownictwie pism prowincyonalnych. Gdzie szczęśliwym zbiegiem okoliczności znajduje się w gronie redakcyjnem jakieś żwawsze pióro, tam się można spotkać z artykulikiem mniej więcej po literacku skrojonym. Lecz pulsowanie życia miejscowego wszędzie słabiuchne, mimo widocznych nieraz ze strony redakcyj starań i dobrych chęci.

Niekiedy na czas pewien jakieś pismo wybija się ponad szarą mierność. Niegdyś był takiem *Korespondent płocki*, obecnie na wyższym znacznie szczeblu stanął *Dziennik łódzki*.

Co się też z tego *Korespondenta* zrobiło! Skurczył się, zesłabł: na siedem szpalt niewielkich tekstu w numerze, który mam przed sobą, półtrzeciej zajmuje niby korespondencya, niby fejleton, którego autor, podpisujący się pseudonimem *Marysia*, stara się niedorzeczności swoje tłustym konceptem okrasić. Czy redakcya, drukując niezdarne kleconki, spodziewa się, że zmusi w ten sposób inteligentniejszych czytelników do gorliwszego zasilania pisma czemś lepszem? Pozwalam sobie wątpić o skuteczności obranej drogi.

Czem natomiast pisma prowincyonalne wyższe są od niektórych przynajmniej organów prasy warszawskiej — to ogłoszeniami. Nie liczbą ich wprawdzie, niestety, ale jakością. Biorę do ręki numer jednego z tutejszych pism brukowych i znajduję w nim cztery zaofiarowania dzieci na własność, obok dwóch ogłoszeń o zaginionych pieskach, których właściciele pragną udzielić nagrody w razie odzyskania zguby. Niektóre z tych ogłoszeń o dzieciach brzmią charakterystycznie.

„Jest do wzięcia na własność dziecię płci żeńskiej, *niechrzczone*, osoby *wyższego pochodzenia...*“ (tu adres).

„Ktoby sobie życzył z domów JWielmożnych hrabiów, lub zamożnych obywateli przyjąć za własne dziecko, 9-miesięczną dziewczynkę *prześlicznej urody* i zupełnie zdrową, może znaleźć takową przy rodzicach“ (adres).

Pierwsze z tych ogłoszeń przekonywa o *tolerancyi*, wkradającej się do osób wyższego stanu; drugie, dotyczące dziewczynki z prześliczną urodą i do jaśnie wielmożnych wzdychające, odniosłoby zapewne skutek szybki, gdyby towar, który zacni rodzice na własność chcą oddać, nie był takim maleńkim pączuszkiem.

Z ciężkiem sercem czytam o chłopczyku dziewiętnastomiesięcznym, zdrowym, ładnym i pojętnym, także oddawanym na własność. Rodzice oboje, czy jedno z nich, wypielęgnowało, wypiastowało dziecię, już rozbudziło w niem pierwsze brzaski myśli i uczucia i pod wpływem okropnej nędzy, czy niemniej okropnej lekkomyślności, zrzec się chce słodyczy dziecięcego gwarzenia, uśmiechu, płaczu.

I ogłoszenia podobnej treści ukazują się stale, dzień za dniem, tydzień za tygodniem, jak wysięk ostry z rany wciąż otwartej.

O różnych zapisach dobroczynnych słyszymy i czytamy. Być może, iż są filantropowie, którzy choć kiedyniekiedy usiłują zbadać objawy ciężkiej niemocy społecznej, przezierającej z anonsów podobnych.

Odwracam kartę w tym samym dzienniku i znajduję ofertę „osoby młodej, dobrze wychowanej, z powierzchownością przyjemną, która poszukuje miejsca do mężczyzny samotnego lub wdowca bezdzietnego.“

Istotnie, staraniem pisma jest czynić zadość potrzebom swych czytelników. Byłby oszczercą, ktoby twierdził, że niedość starań przykłada pismo, które pozwala na to, aby się w jego łamach odbywało nawet wabienie, aby np. w pięknej rubryce „korespondencyj prywatnych“ jakiś *camerade de l'école buissonière* naznaczał schadzkę swojej duszce.

Pojmuję nacisk okoliczności, jeśli nie usprawiedliwiających, to przynajmniej tłomaczących matkę, która przez ogłoszenia stara się znaleźć nabywcę na swe dziecko. Lecz jaki nacisk, jaka ostateczność zniewala daną redakcyę do tego, żeby dom schadzek zaprowadzała w swem piśmie? Wszakże rubryka haniebnych dochodów z tego źródła nie zdaje się być tak obfitą, aby do poważnej cyfry się wzniosła i aby wykreślenie jej miało znaczny przynieść uszczerbek.

Powracam do spraw prowincyi, do działalności inteligencyi miejscowej. W jednem z miast gubernialnych zamieszkał człowiek, nieolśniewający ani powierzchownością, ani wymową, nieposiadający zasobów średniego wykształcenia, tylko z ogromną wiarą w swego ducha, w swe natchnienia, pozwalające mu cudownie zwalczać wszystkie uleczalne choroby. Nie słysząc o jaroszach, czyli wegetaryanach, należał podobno do ich liczby, gdyż za napój nie używał trunków, ani mięsa za pokarm. Nie słyszał o mięsieniu (miętoszeniu leczniczem, czyli masażu), sam wszakże używał systemu, nad którym długo medytował i który był jakąś kombinacyą mięsienia, gimnastyki, magnetyzerstwa i demonomanii, używanych zresztą w najlepszej wierze, bo cudowny doktór nie kazał sobie płacić za kuracyę. Niebawem pozyskał, rzecz prosta, zwolenników gorących, byli tacy, w których obudził zaufanie bez granic. Małyż to warunek leczenia skutecznego? Cóż na to lekarze miejscowi? Uśmiechali się półgębkiem, zbywali rzecz wzruszeniem ramionami. Oni słyszeli o masażu i o gimnastyce, ale prowincyonalny lekarz za żadną cenę nie zechce się wyspecyalizować w takim wyłącznym kierunku, bo się boi, że któryś poczciwy koleżka zdyskredytowałby go za to w opinii publicznej. Więc samorodny masażer był jedynym, choć nieuznanym pionierem nowych pojęć lekarskich... Protestowali z cicha patentowani przeciw niemu, protestował on przeciw patentowanym, nie wierzył w ich kuchnię łacińską i innym tę wiarę odbierał. Gdy zbadał chorego, z góry wróżył, czy wyleczenie jest możebne; stosownie do tego udzielał albo odmawiał pomocy. Niezawodności wróżb swoich nieborak sam na sobie doświadczył. Uczuł się niezdrowym, ale widział przecie, że się wyleczy; więc lekarzy wzywać zabronił i poddał się własnej kuracyi, która go z niespodziewaną szybkością do lepszych światów przeniosła. Ilu ludziom i jakie złe oddał usługi — milczy kronika. A kompetentni uśmiechali się i wzruszali ramionami...

Do inteligentnych właścicieli ogrodów odwołuje się p. Edmund Jankowski, redaktor *Ogrodnika polskiego*, z prośbą o materyały, na podstawie których ułożyćby można statystykę naszych ogrodów, licząc, że skoro w powiecie łukowskim znalazł się chętny w tym kierunku ks. Ołtarzewski, a we włocławskim p. Apanowicz, to w pozostałych 87 powiatach znajdzie się przynajmniej 87 ludzi, po jednym na powiat, którzy taką statystykę przygotują według wzorów już ułożonych przez ks. Ołtarzewskiego. To wszystkim da możność oryentowania się w zaopatrywaniu ogrodów nowemi roślinami, da wskazówki, czego nam brak, co możemy i powinniśmy hodować. Wiara podobno góry na góry przenosi. Oby wiara p. Jankowskiego w zaradność i chęć do wspólnej pracy u naszej prowincyonalnej inteligencyi zdołała ją — nie przenieść, ale poruszyć.

K. Zbrucki.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Dziennik warsz. donosi: „Z powodu wyjazdu do Petersburga p. generał-gubernatora warszawskiego, generał-adjutanta Hurki, *St. Petersb. Wied.* donoszą: Wedle krążących pogłosek, przyjazd p. generał-gubernatora warszawskiego nie jest w związku z jakiemiś sprawami wojskowemi w powierzonym jego zarządowi okręgu, lecz z ważnemi cywilnemi i ekonomicznemi reformami, mającemi nastąpić w Królestwie Polskiem i jak zapewniają, mającemi przyjść pod rozbiór na bieżącej sesyi ogólnych zebrań rady państwa. Pierwsze miejsce w rzędzie tych reform zajmie reforma zarządu gminnego, w którym proponowane jest wzmocnienie pierwiastku rosyjskiego i włościańskiego, z ograniczeniem udziału szlachty, a po drugie, rozciągnięcie na kraj działalności rządowego Banku włościańskiego; istnieje już nawet opracowany w szczegółach projekt przelania do tego Banku swobodnych kapitałów byłych oddzielnych instytucyj kredytowych Królestwa Polskiego. Przeciwko temu przelewowi, jak wiadomo, przedewszystkiem powstaje miejscowa prasa polska, ale poważnych argumentów w tej mierze nie przytacza, a zresztą nie może przytoczyć, ponieważ owe kapitały miały zawsze za zadanie danie pomocy kredytowi ziemskiemu i zachowają swój cel pierwotny przez przelanie ich do rządowego Banku włościańskiego.“

P. Oberpolicmajster Warszawy w rozkazie do policyi wykonawczej ponawia rozporządzenie, ażeby uwolnieni od rezerwy, z czynnej służby, szeregowcy i podoficerowie, meldowali miejscowym władzom policyjnym każdą zmianę swego stałego zamieszkania, oraz wyjazd chwilowy i powrót; w razie zaniedbania tego obowiązku, winni będą pociągani do odpowiedzialności. Zalecono także władzom policyjnym i gminnym, ażeby przy wydawaniu paszportów żołnierzom nieograniczenie urlopowanym nie były im odbierane ich bilety, a odebrane dawniej, aby natychmiast były im zwrócone.

Do Cesarstwa wyjechało w tych dniach kilkunastu zdolnych dependentów, dla objęcia posad kancelaryjnych notaryalnych, opróżnionych przez usunięcie żydów. Pośredniczył w tej sprawie jeden z adwokatów odeskich.

Kasy rzemieślnicze w Warszawie ujrzały się zniewolone do ściągania drogą sądową należności od *dwustu* blizko dłużników. Głównymi winowajcami są zapewne nieakuratność i bieda.

Wsparcia dymisyonowanych żołnierzy. Polecono komisarzom policyjnym sprawdzić położenie finansowe dymisyonowanych żołnierzy, pobierających wsparcie rządowe, albowiem okazało się, że wspomniane zapomogi pobierają niekiedy nietylko osoby, posiadające dostateczne utrzymanie, lecz nawet własny majątek. Nadto w razie wątpliwości co do stanu zdrowia tych żołnierzy dymisyonowanych, którzy pobierają wsparcia z powodu kalectwa i niezdolności do pracy, należy odsyłać ich do urzędu poborowego dla sprawdzenia tych okoliczności.

Hodowlę drobiu rozwinęli na znaczną skalę włościanie z okolic Lublina, Kraśnika, Opola, Nowej Aleksandryi i Iwangrodu, którzy za pośrednictwem składu głównego, znajdującego się w Radomiu, wysyłają po 6 do 10 tysięcy kóp jaj tygodniowo dla pewnej fabryki alluminu w Dreznie. Donosi o tem *Gaz. lubelska.*

Epidemia ospy sroży się w Konstantynowie, Pabianicach i niektórych miejscowościach Powiśla.

Trzęsienie ziemi nawiedziło Francyę i Włochy północne. W niektórych miastach (Nicy, Genui, Savonie) runęło wiele domów i zginęło dosyć ludzi.

Zapisy na stypendya, zapomogi, pożyczki itp. w ogólnej sumie 80,000 rs. zostawił zmarły w Piotrkowie 12 b. m. Karol Burkard.

Kapitał użyteczności publicznej przeznaczony jest całkowicie na organizacyę kredytu włościańskiego w Królestwie Polskiem. Donosi o tem *Dn. Warsz.*, zaprzeczając pogłosce o zamiarze udzielenia z tego funduszu pożyczki na urządzenie wodociągów i kanalizacyi w Warszawie.

Oddziały równoległe z polecenia władzy naukowej utworzone będą niezwłocznie dla uczniów i uczennic wyznania prawosławnego w tutejszym Instytucie głuchoniemych i ociemniałych. Wykład wszystkich przedmiotów prowadzić będą w obu tych oddziałach nauczyciele Instytutu w języku rosyjskim. Do wykładu religii prawosławnej powołany został duchowny Michał Rodkiewicz z płacą 600 rs. rocznie. Instytut liczy obecnie 16 wychowańców tego wyznania.

Śledztwo. P. K. Waliszewski zamieścił w nr. 3 *Kraju* artykuł, w którym opisuje, w jaki sposób nabywca dóbr, wystawionych na licytacyę przez Tow. kredytziem, został przez poprzedniego właściciela wyzuty z przedmiotów, które powinny były na gruncie pozostać, piętnując zarazem udział w tej sprawie osób do składu dyrekcyi szczegółowej Tow. kred. należących, lub działających z jej ramienia. Działalności, opisywanej przez p. W., sprzyjać miał szczególniej fakt naznaczenia ponownej licytacyi z powodu, że w ciągu ośmiu dni po licytacyi znalazł się ktoś, podnoszący cenę o czwartą część szacunku, przez co nowonabywca został zawieszony w swem posiadaniu. *Gaz. warsz.* donosi, że artykuł p. Waliszewskiego został napisany z powodu sprzedaży dóbr Russowa w gub. kaliskiej i że Dyrekcya główna Towarzystwa wytoczyła śledztwo co do tej sprawy, które prowadzi jeden z jej radców.

System metryczny miar i wag zaprowadzony został od nowego roku we wszystkich urzędach Finlandyi.

Studenci uniwersytetu warszawskiego, którzy nie opłacili jeszcze wpisu, otrzymali prolongatę i pozwolenie uczęszczania tymczasowo na wykłady. Znaczna część wpisów, a może i wszystkie będą pokryte z dochodu, jaki przyniósł bal studencki, wydany d. 15 b. m. Fundusz ten dosięga podobno 2,000 rs.

Balotowaniu z powodu wysłużenia przepisanych prawem lat służby. ulegli profesorowie tutejszego uniwersytetu: dr Włodzimierz Brodowski, dziekan wydziału lekarskiego, Stanisław Budziński, profesor prawa karnego i dr Roman Pląskowski, docent psychiatryi. Dwaj pierwsi zostali utrzymani na lat pięć dalszych, zaś dr Pląskowski będzie musiał opuścić dotychczasowe swe w uniwersytecie stanowisko.

Na walnem zebraniu delegatów z okręgów wyborczych w ks. Poznańskiem, w Poznaniu, d. 6 b. m., przewodniczący dotychczas w komitecie prowincyonalnym hr. Mieczysław Kwilecki, odczytał zebranym nadesłany wniosek komitetu wyborczego m. Poznania, aby walne zebranie delegatów z powodu sprzedaży Radłowa przez bank „Kwilecki, Potocki i Sp." tegoż hr. Kwileckiego pozbawiło godności przewodniczącego w komitecie prowincyonalnym. Większość obecnych podzieliła wniosek powyższy; hr. Kwilecki, oświadczywszy, że składa swój urząd, opuścił salę. Przy rozpoczęciu wyborów kandydatów, dawniejsi posłowie lub kandydaci początkowo zalecani: Wł. Taczanowski, dr W. Skarzyński, Stan. Chłapowski i adw. Pluciński oświadczyli, że mandatów poselskich przyjąć nadal nie mogą. Następnie dopełniono wyborów 13 kandydatów, którzy popierani będą w 15 okręgach.

Kuratorem szkoły technicznej drogi żelaznej Terespolskiej, zgodne z przedstawieniem rady zarządzającej, mianowany został jej prezes p. Stanisław Kronenberg.

W Charkowie otwartą została księgarnia francusko-polska i wypożyczalnia książek.

Nagrody w gotówce po 1,125 guldenów lub w medalach złotych tejże ceny przyznawać będzie co roku Akademia umiejętności w Krakowie za prace historyczne i utwory malarskie. Funduszu na ten cel dostarczył zapis Probusa Barszczewskiego.

Muzeum Kopernika w Rzymie otrzymało od p. Cezara Dorny w darze bibliotekę astronomiczną, 400 listów znakomitych matematyków i zbiór narzędzi meteorologicznych.

Zmarli. Daniel Penther, malarz i kolekcyonista, lwowianin, zamieszkały ostatecznie w Wiedniu, znany z życzliwości dla kształcących się w tem mieście młodych artystów polskich.

— Jan Zawisza, tutejszy archeolog. Zasilał *Rocznik fizyograficzny* i *Wiadomości archeologiczne* nietylko pracami swemi, ale i groszem. Należał do spółki budowy domów dla robotników.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pani W. w Ł. 1) Żadną lub też każdą (np. niezłą Chociszewskiego), trzeba przy lekcyi oczyszczać z chwastów; 2) po polsku niema bez owych „dodatków"; 3) tylko w angielskim.

Cesi L...y. I my nie wiemy, o co chodzi w wierszu Pani.

S. B. w Radomiu. Książka Spencera „O wychowaniu" udzieli Pani pożądanych wskazówek ogólnych, panna zaś Weryho, przewodniczka takiego zakładu w Warszawie, szczegółowych co do wyboru nauczycielki. Oprócz przytoczonej książki, wyjaśniano tę metodę w artykułach dziennikarskich.

S. Sępowi. Obraz tak mętny, mgławicowy, że można w nim zaledwie rozumieć wyrażenia pojedyncze.

Lorkowi. Tłomaczenia wierszy zamieszczamy tylko w wypadkach szczególnej wartości oryginału i przekładu.

P. Józefowi K. w Odessie. Zbiór życiorysów ludzi, którzy za myśli swe ponieśli męczeństwo.

Dr. P. w Kamieńcu. Wraz z zeszłorocznym rublem mamy 4; należy nam się jeszcze rubel do półrocznej opłaty.

P. K. w N. Aleksandryi. Prenumerata wynosi rs. 2 k. 50; należy nam się kop. 50.

P. L. w Ekaterynosławiu. Do odebranych rs. 8 brakuje nam kop 30 na przesyłkę Morgana.

P. Z. w Kijowie. Za posłane 2 zeszyty Espinasa należy nam się kop. 50.

OFIARY.

Do rozporządzenia Redakcyi. Bezimiennie rs. 2 kop. 50.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Февраля 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.